

PATRICK QUENTIN

CZŁOWIEK O SZATAŃSKIM ŚMIECHU

Przekład z angielskiego
Marian Kozłowski



**WYDAWNICTWO DOM
WARSZAWA 2004**

WSTĘP

W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, w epoce, gdy coca cola uważana była przez władzę za imperialistyczne zło, a większość młodzieży nie znała smaku hamburgera, w poczytnej gazecie, która nazywała się Express Wieczorny prawie codziennie drukowano kryminalno-sensacyjne powieści różnych zagranicznych pisarzy (rzadko polskich). Między innymi znalazł się w niej również Patrick Quentin – autor niezwykle poczytnych, pełnych napięcia kryminałów, którego w latach mojej młodości uważałem za niedościgły wzór pisarza sensacyjnego. Znałem zaledwie kilka jego książek (Dwa tygodnie w Reno, Człowiek w matni, Powrót na wyspy lub Jego dwie żony), ale kiedy w wyżej wspomnianej gazecie zaczęto drukować Człowieka o szatańskim śmiechu poczułem się tak szczęśliwy, jakbym chwycił w swoje ręce drogocenny skarb, albowiem w owych czasach rzadko kiedy można było kupić książki, które nie schodziły z list bestsellerów na zachodnich rynkach księgarskich, bo cenzura nie pozwoliłaby wydać ich w Polsce. Ponieważ sądziłem, słusznie zresztą, że powieść ta nigdy nie będzie wydana w formie książkowej, więc skrupulatnie zbierałem jej odcinki, wycinając z gazety i składając według kolejności numerów, aż do finału zwieńczonego zszyciem luźnych kartek. W ten oto sposób stałem się jednym z nielicznych w kraju właścicieli powieści Quentina, która wywoływała rumieńce podniecenia związanego z wartką, pełną tajemnic akcją.

Dzisiaj, po wielu latach, gdy odczytuję ją na nowo, nie wzbudza już we mnie tak żywiołowych uczuć, jak wtedy, ale nie będę ukrywał, że powróciłem do niej z przyjemnością, jak do starego, dobrego przyjaciela. Myślę, że ta niewielka książeczka sprawi jeszcze nie jednemu czytelnikowi dużo przyjemności.

J.S.

P

rzerażona staruszka beładnie mówiła przez telefon:

- ... I śmiał się. Ale się śmiał! Kiedy strzelał do mego syna, śmiał się przez cały czas. Potwornym, szaleńczym śmiechem...

Inspektor Martin Field notował: „Zabójstwo. Denat: Sylwester Twing, ulica Jubileuszowa 14. Zgłosiła matka, godzina .”.

Aż duszno było w biurze brygady zabójstw przez ten sierpniowy upał. Field zamierzał wyjść wcześniej i razem z bratankiem pożeglować po zatoce.

- A więc widziała pani mordercę?

- Nie, nie! Nic nie widzę. Jestem ślepa. I jestem samiuteńka. Pospieszcie się! On może wrócić i mnie zabić... ten człowiek o szatańskim śmiechu.

„Człowiek o szatańskim śmiechu”. Pani Twing była pierwszą, która użyła tego określenia, ale już po kilku godzinach rozniosło się ono po całym San Francisco, jak wielki pożar sprzed lat...

Otworzyła im drzwi drobna, przerażona kobiecina, podobna do ducha. Dom też był, jak duch. Nieprawdopodobny przeżytek z pierwszych lat stulecia, wciśnięty pomiędzy dwa wielkie składy, w dzielnicy, która już dawno poddała się przemysłowej ekspansji, postępującej od Zatoki.

Pani Twing nosiła szlafrok i wełnianą narzutkę. Nogi miała bose, jak dziecko, groteskowo kontrastujące ze starczą, pomarszczoną twarzą. Niewidoma wyciągnęła trzęsące się ręce ku Martinowi Fieldowi.

- Mój syn! - łkała. - O, mój syn! Mój syn!...

Zwłoki znaleźli w obszernej bawialni, zastawionej ciężkimi wiktoriańskimi meblami. Grube, czerwone zasłony redukowały ostre światło słoneczne, zamieniając je w przyćmiony, różowy blask. Sylwester Twing leżał w kącie pokoju pod dwoma mrocznymi obrazami przedstawiającymi owoce w koszykach. Obok, na stoliku o giętych nogach, siedział pulchny, wypchany pekińczyk pod szklanym kloszem. Wyglądał niesamowicie żywo z niebieskimi guzikami zamiast oczu.

Lekarz policyjny klęknął przy zwłokach. Martin Field, najmłodszy, ale i najzdolniejszy inspektor w policji miasta San Francisco oglądał ofiarę z góry. Sylwester Twing otrzymał strzał w serce. Liczył około pięćdziesięciu pięciu lat, miał oschłą, niesympatyczną twarz, rzadzące włosy i nawet po śmierci jakiś faryzeuszowski wygląd. Krwi nie było wiele. Wsiąkła w granatowe sukno marynarki.

- Zabierajcie się, chłopcy do roboty – polecił Martin. - Ja zajmę się starszą panią.

Odnalazł panią Twing w hallu, bliską zasłabnięcia. Po ciemnych schodach zaniósł ją do sypialni. Był równie potężny, jak ona drobniutka. W jego ramionach wyglądała jak zapomniana, wyblakła lalka.

- Człowiek o szatańskim śmiechu! - pojękiwała. - O, ten potworny człowiek, parskający śmiechem!

Położył ją na łóżku. Była jeszcze nadal zbyt przerażona, aby mogła sensownie zeznawać. Uspokoił ją jednak powoli i wydobył fragmenty informacji.

Dom należał do miss Van Loon, niegdyś bogatej starej panny. Pani Twing i jej syn, oboje Anglicy, pracowali tu przez dwadzieścia pięć lat. Ona jako kucharka, on jako lokaj. Nawet, kiedy pani Twing oślepiła, miss Van Loon nie zrezygnowała z jej usług. A przed kilkoma miesiącami, gdy właścicielka umarła, okazało się, że zapisała dom Sylwestrowi.

- Jej rodzice przyjechali z Holandii – mówiła pani Twing. - Nie miała rodziny, ani przyjaciół. Tylko Sylwestra i mnie. Zawsze byliśmy dla niej dobrzy. Nigdy nie wyrządziliśmy nikomu krzywdy. Ach, dlaczego ten okropny człowiek...

- Musi mi pani opowiedzieć, jak to było, jeśli mam pomóc.

- Spróbuję. To było, jak senny koszmar. Ale spróbuję.

Po obiedzie położyła się do łóżka. Ostatnio właściwie wciąż pozostawała w łóżku ze względu na serce. Około trzeciej usłyszała samochód, podjeżdżający pod dom od tyłu i zaraz potem dzwonek, na który syn otworzył drzwi.

Rano około dziewiątej też ktoś przyszedł. Jakiś mężczyzna. Nie wie, kto to był. Syn nigdy jej się nie zwierzał, a ona go nie wypytywała. Lecz ludzie rzadko przychodzili do tego domu. Zaciekawiała się, gdy zjawił się ten drugi gość. Usiadła na łóżku i nasłuchiwała.

- Słyszałam kroki ich obu, przechodzących przez hall do bawialni. Stąd, z sypialni nie słyszałam ich głosów. Ale później, po minucie czy dwóch usłyszałam śmiech. - Znow załkała. - O, nie potrafię panu powiedzieć, co to był za śmiech. Długi, głośny... jakby chichoczący. Obląkańczy. To był śmiech szaleńca.

Przekreśliła się na łóżku w jego stronę.

- Byłam przerażona. I bałam się o Sylwestra. Wstałam jakoś i wyszłam na korytarz. Dotarłam do schodów i wtedy znow usłyszałam ten śmiech... huczący po całym domu. Waliło mi serce. Bałam się, że dostanę ataku. Nagle śmiech ustał i usłyszałam jego głos. Wyraźny, jakbym stała przy nich, tam w pokoju, na dole. Powiedział...

- Tak, pani Twing. Co powiedział?

Dokończyła lekliwym szeptem, oddychając wolno:

- Powiedział: „Wiedziałaś przecież, że wrócę wcześniej czy później. Tym razem wróciłem rozprawić się z wami wszystkimi... z tobą Sylwestrze, z Bernardem, George'm i Ramoną”.

- Bernard, George i Ramona. Co to za jedni?

- Nie wiem. Nigdy o nich nie słyszałam. Ale tak powiedział. A potem... potem znow zaczął się śmiać i wtedy nastąpił strzał.

Dygocącą rękę uniosła do ust.

- O, żeby pan wiedział, jakie to straszne być ślepa, stale w ciemności, niezdolną nic widzieć! Stałam tam nie wiem, jak długo. Nie mogłam się poruszyć. Nagle usłyszałam kroki. Zbliżyły się od bawialni do schodów ku mnie. Zobaczył mnie. Wiem, że mnie zobaczył, ponieważ parsknął śmiechem. Inaczej niż przedtem. Teraz ten śmiech był cichy, drwiący. Uciekłam z powrotem do mojego pokoju i zamknęłam drzwi na klucz. A kroki były coraz bliżej i bliżej. Zatrzymały się przed moimi drzwiami. Potrząsnął klamką. Naciskał ją wielokrotnie. Potem znow się roześmiał i poszedł dalej korytarzem. Słyszałam jak trzaskał drzwiami do innych pokoi. Poszedł nawet na strych. Wreszcie wrócił na dół. Usłyszałam, jak zatrzasnęły się za nim tylne drzwi i jak odjechał samochód...

Potworna opowieść przeszła w łkanie.

- Bernard, George i Ramona – odezwał się łagodnie Martin Field. - Czy na pewno nie zna pani nikogo o takich imionach?

- Nie. Mówiłam już panu.

- I nie ma pani pojęcia, o co to poszło?

- Nie, nie. Chyba, że... o Evangelinę...

- Evangelinę?

- Moją wnuczkę. Jej matka umarła, kiedy była niemowlęciem. Staraliśmy się z Sylwestrem dobrze ją wychować. Pomagała nam w tym miss Van Loon. Kochała ją, jak własną córkę. Ale Evangelina zawsze była zła. Uparta, nieposłuszna, w głowie miała tylko marną muzykę jazzową, wymykała się do nocnych lokali. Aż w końcu...

Głos pani Twing zmienił się. Nabrał tonacji pruderyjnej i faryzeuszowskiej. Czyżby podobnym głosem mówił jej syn? - zastanowił się Martin.

- Przed dwoma laty miss Van Loon zastała ją tu, w tym domu z mężczyzną. Wynikła straszna awantura. Miss Van Loon i Sylwester kazali jej iść i nigdy nie wracać. Oczywiście, mieli rację. Evangelina była podła. Możliwe, że to ona zrobiła. Możliwe, że nasłała tego okropnego mężczyznę, żeby się zemścił. O, ten śmiech, ten przeraźliwy śmiech!

Zapomniała teraz o Martinie, ogarnięta nową falą wspomnień panicznego strachu. Wiele chciał się od niej dowiedzieć, ale mogło to jeszcze zaczekać. Cicho usunął się z pokoju.

Pani Twing stwierdziła, że ten dziwaczny, śmiejący się morderca „trzaskał drzwiami” wszystkich pozostałych pokoi. Inspektor również obszedł resztę pomieszczeń. We wszystkich sypialniach kapy i prześcieradła były ściągnięte z ciężkich mahoniowych łóżek. W jednym pokoju wcale nie było prześcieradeł. Jeszcze w innym porwane zostały na pasma i porzrzucone na wyblakłym, okazałym dywanie. Oglądał to spustoszenie, przejęty lękiem nawiedzającym zawsze wobec dowodów szaleńswa.

Odszukał go jeden z detektywów.

- Telefon do ciebie, Martin. Z komendy. - Zagwizdał. - O, rany! Co to... szaleniec?

- Tak jest - odrzekł ponuro Martin. - Szaleniec. Wygląda mi to na najgorszy przypadek, jaki mieliśmy kiedykolwiek.

Zszedł na dół do telefonu. Usłyszał skwaszony głos dyżurnego sierżanta.

- To chyba benefis waszej brygady, Martin. Otrzymałem właśnie kolejny meldunek. Galeria obrazów „Newlands” przy ulicy Powell. Zastrzelono właściciela. Faceta nazwiskiem Bernard Olin.

- Powiedziałeś „Bernard”?

- Tak. Bernard Olin.

Martin poczuł chłód rozchodzący się po plecach.

- Zajmę się tym. Poślij tam zaraz dwóch chłopców. Swoich muszę tutaj zostawić.

- Naturalnie. Coś jeszcze?

- Owszem. Sprawdź wszystkie szpitale dla umysłowo chorych, czy nikt stamtąd nie uciekł.

„Wiedziałeś przecież, że wrócę wcześniej, czy później. Tym razem wróciłem rozprawić się z wami wszystkimi... z tobą, Sylwestrze, z Bernardem, George'm i Ramoną”.

Sylwester, Bernard...

Zabrał z sobą doktora Caseya, powierzając kierownictwo jednemu z detektywów. Kazał poszukać śladów opon za domem i zorientować się, czy ktoś z sąsiadów, albo znajomych nie mógłby zaopiekować się panią Twing. Dopiero, gdy w drodze na ulicę Powell przejechał obok domu, w którym mieszkał, przypomniał sobie, że umówił się z bratankiem na wyprawę żaglówką. Jego stara, czarna limuzyna zaparkowana była przed bramą. A więc Rickie czekał na niego.

Rodzice Rickiego, brat Martina i jego żona, zginęli w wypadku samochodowym. Od tego czasu inspektor opiekował się bratankiem. Przed dwoma miesiącami Rickie powrócił z Korei i jego stryj zajmował się nim, jak kura jedynym kurczęciem. Wstydił się, ale nie potrafił tego zmienić. Rickie był jedynym człowiekiem, dla którego znajdował czas i którego kochał.

Zjechał na bok policyjnym wozem i pobiegł do mieszkania. Rickie znajdował się w mansardzie, połączonej schodami z lokalem zajmowanym przez Fielda. Przygotował dla niego ten pokój podczas dwuletniej służby Rickiego w wojsku.

Chłopak siedział przy maszynie do pisania, poprawiając swój artykuł o wymarłych osiedlach górniczych. Zajmował się uparcie tym tematem po wakacyjnej wędrówce w Nevadzie.

- Cześć, Mart! Co nowego? Zatrzymał cię jakiś trup?

- Aż dwa – wyjaśnił Martin. Pragnął bardzo aby Rickie zainteresował się pracą w policji. Chłopak wariował teraz na punkcie pisania, lecz dorywcza praca reporterska nie stwarzała najlepszych możliwości i Martin wciąż miał nadzieję, że pozyska w końcu bratanka do swojego zawodu. - Może pojechał byś ze mną? Mógłbyś napisać o działaniu policji.

- Dalsza propaganda, co? - Kanciasta, chłopięca twarz rozjaśniła się uśmiechem. - Dobrze, pojedę z tobą. Ale nie sądzę jeszcze, że zapakowałeś mnie w mundur.

Kiedy znaleźli się przed nowym biurowcem przy ulicy Powell, policjant z ruchu drogowego powstrzymał tłum gapiów zebranych na chodniku. Martin i Rickie przepchnęli się do hallu, gdzie portier wskazał im szklane drzwi oznaczone napisem „Galeria obrazów Newlands”. Weszli do małego pokoju recepcyjnego. Zastali tam już trzech detektywów z komendy. Wraz z nimi była jakaś dziewczyna i młody człowiek.

Dziewczyna była ciemno opaloną blondynką w białej sukience. Fieldowi wydawało się, że już dawno temu zdecydował się na pozostanie w kawalerskim stanie, lecz kawowa karnacja dziewczyny i wyjątkowo ożywiona twarz sprawiły, że przez moment serce zabiło mu szybciej. Gdy zbliżyła się do nich, poczuł obezwładniający dreszcz podniecenia.

- Jestem Anna Lyle, współpracowniczka pana Olina. A to Robert Hilton – wskazała przystojnego, młodego człowieka z ponuro ściągniętymi ustami. - Jeden z naszych malarzy. Byłam cały dzień u niego w Burlingame, pomagając w przygotowaniu nowych płócien na wystawę. Odwiózł mnie tutaj i... może lepiej pan sam zobaczy.

Hilton, gestem posiadacza, ujął ją za ramię.

- Dziecinko, nie chodź tam znowu – powiedział.

- W porządku, Robercie – uwolniła ramię i poprowadziła ich do właściwej galerii. Wszystko było tam bardzo nowoczesne z abstrakcyjnymi obrazami na ścianach i smutnymi, poskręcanyymi rzeźbami, rozstawionymi po środku. Na podłodze, w pobliżu drzwi, leżały dwie bogato zdobione, staromodne, pozłacane ramy, z wyrzeźbionymi girlandami kiści winogron. Pod tylną ścianą stało biurko. Przed nim, na grubym, szarym dywanie leżały zwłoki pulchnego mężczyzny w białym garniturze. Ani śladu jednak szaleńczego plądrowania, przypominającego porwane prześcieradła w domu Twingów. Tylko to rozwalone ciało przy biurku.

- Znaleźliśmy go zaraz po przyjeździe – głos Anny Lyle nie był już teraz tak dźwięczny, jak przedtem. - Został... został zastrzelony. Była tu także jego sekretarka, Lorna Williams. Nieprzytomna. Uderzona w głowę. Wezwaliśmy lekarza z górnego piętra. Zajęty jest teraz przy niej w biurze.

Gdy Martin mijał ją, znów poczuł ten nagły, zupełnie niestosowny dreszcz podniecenia. Zmieszał się i było mu głupio. Był przecież policjantem na służbie. Nie powinien reagować, jak nieodpowiedzialny smarkacz. Przyglądał się doktorowi Caseyowi, klękającemu przy zwłokach. Bernard Olin, podobnie jak Sylwester Twing trafiony został strzałem w serce.

Biurko było prawie puste. Znajdowała się na nim złota zapalniczka, popielniczka i paczka nieznanych papierosów. Martin wziął je do ręki. Angielska marka, „Marley”. Drzwi od biurka otworzyły się. Wszedł mężczyzna z czarną torbą.

- Już odzyskała przytomność – zwrócił się do Anny Lyle. - Uderzenie musiało być mocne, ale nie ma żadnego uszkodzenia. - Wzrok jego przeniósł się na Martina. - Może ją pan przepytac, ale bardzo spokojnie. I jak najprędzej trzeba ją zawieźć do domu, położyć do łóżka.

Inspektor skinął na Rickiego i obaj poszli do pokoju biurowego. Na różowej kanapce pod ścianą leżała ładna dziewczyna z czarną grzywką. Na dźwięk kroków odwróciła się ku nim. Patrzyła zdumionymi, zielonymi oczyma.

- Policja, panno Williams – wyjaśnił Martin.
Usiadła, uśmiechając się blado.

- Może ktoś ma papierosa? - spytała.
Rickie poczęstował ją i podał ognia. Drżała jej ręka.

- On nie żyje, prawda? - odezwała się.

- Nie żyje.

- Widziałam to – zadrżała. - Widziałam wszystko.

- Widziała pani mordercę? - stężał Martin z przejęcia.

- Tak. Czy mam wszystko opowiedzieć?
Inspektor skinął głową.

- Dzisiaj po południu pan Olin posłał mnie po stare ramy, które zakupił. Wróciłam chyba koło czwartej. Weszłam do pokoju recepcyjnego. Drzwi do galerii były na pół otwarte. Już miałam tam przejść, gdy usłyszałam śmiech.
A więc jednak to, czego się obawiał! Martin zwilżył wargi.

- Śmiech?

- Trudno mi to określić, ale w tym śmiechu było coś dziwnego. Głośny, wysoki w tonacji... z jakimś złowrogim chichotem, jak w filmie grozy. Zaskoczyło mnie to. Otworzyłam szerzej drzwi. Pan Olin stał przy biurku, a przed nim, plecami do mnie ten drugi mężczyzna. Wpierw zwróciłam uwagę na pana Olina, ponieważ widziałam jego twarz. Była szara z przerażenia.

Spojrzała na swoją rękę, jak gdyby chciała powstrzymać jej drżenie.

- Stałam tak przez chwilę. Potem tamten zaczął mówić.
Zerknęła na Rickiego, a później na Martina.

- To, co mówił było jakieś bezsensowne. Powiedział: „Dlaczego dziwisz się, Bernardzie? Czy nie wiedziałeś, że wrócę? Zabiłem już Sylwestra. Teraz twoja kolej, potem George'a i Ramony. I będziemy skwitowani”. I zaraz rozległ się strzał. Nie zdawałam sobie sprawy, że miał broń. Widziałam go tylko z tyłu. Pan Olin jęknął i padł do przodu. Tamten obrócił się. I wtedy zobaczyłam jego twarz. Była okropna! Wychodzona, niemal trupia, z olbrzymimi, rozpalonymi oczami. Podszedł do mnie z pistoletem i znów parsknął śmiechem. To właśnie czyniło go tak potwornym. Próbowałam uciec, ale schwycił mnie za rękę. Poczulałam uderzenie w głowę i... - urwała i zamilkła na moment. - To wszystko wydaje się teraz takie nierealne. Ledwie wierzę, że stało się naprawdę.

- Stało się, stało... - stwierdził posępnie Martin. - Proszę opowiedzieć mi jeszcze o tym mężczyźnie. Ile miał lat?

- Około trzydziestu pięciu... tak, chyba tyle.

- Jakie włosy?

- Brązowe, trochę z kasztanowym odcieniem. Nosił sportową marynarkę... chyba brązową. Szare spodnie. Tylko te jego oczy... okrągłe, wlepione we mnie, i ten śmiech...

- Jest pani pewna, że nie widziała go nigdy przedtem?

- Absolutnie pewna. Nigdy bym nie zapomniała tej twarzy.
Martin zatelefonował do komendy i przekazał rysopis.

- Macie coś ze szpitali? - zapytał.

- Sprawdzaliśmy wszystkie w okolicy. Nie mają żadnych danych o ucieczce pacjenta.

- Sprawdźcie jeszcze w Los Angeles. I załatwcie, żeby rysopis ukazał się na pierwszych stronach wszystkich gazet w mieście. Mamy do czynienia z maniakalnym zabójcą, który może jeszcze zamordować co najmniej dwie osoby, jeżeli go nie powstrzymamy.

Dyżurny sierżant chrząknął flegmatycznie.

- Tak jest, Mart. Zaraz się do tego zabieram.
Martin Field odłożył słuchawkę.

- Panno Williams, czy słyszała pani kiedyś o Sylwesterze Twingu?

- Sylwester? To ten, o którym tamten powiedział, że go już zabił? Czy rzeczywiście...

- Zabił go.

Lorna Williams poderwała się. Martin uspokoił ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

- Czy Olin znał jakiegoś Sylwestra Twinga?

- Nie. Nigdy o nim nie wspominał.

- A imiona George i Ramona?

- Jest sporo George'ów... malarzy, klientów. Ale żadnej Ramony.

- Na pewno?

- Tak. Pracuję tu od pięciu lat. Musiałabym wiedzieć.

- Czy Olin był żonaty?

- Nie. Mieszkał sam.

- Może panna Lyle mogłaby nam pomóc?

- Ona jest pani Lyle. Ale wątpię, czy coś wie. Przystąpiła do spółki dopiero przed kilkoma miesiącami. Nie była nawet znajomą pana Olina. Znała Roberta Hiltona i mnie. Chodziłyśmy razem do szkoły.

Martin zdawał sobie sprawę z konieczności pośpiechu. Martwiła go jednak masa niejasności w tej sprawie. Niewątpliwie znalazł się wobec czegoś wynikającego z przeszłości, wobec jakiejś mrocznej tajemnicy, głęboko zagrzebanej w życiorysach tych ludzi, wiążącej ich ze sobą, a wszystkich razem z „człowiekiem o szatańskim śmiechu”. Może jako prześladowców z ofiarą, która w końcu obróciła się przeciwko nim? Ale dokopywanie się przeszłości było pracochłonne i trwało długo. Ile czasu pozostało mu, by unieszkodliwić mordercę, który zaatakował już dwukrotnie w ciągu dwóch godzin i miał jeszcze w planie dwa trupy?

Podszedł do drzwi. Anna Lyle i Robert Hilton stali w milczeniu, podczas gdy w galerii pracowali detektywi. Inspektor skinął na tę parę, zapraszając do pokoju biurowego. Zza pleców doszło słabe jęknięcie Lorny Williams. Odwrócił się jeszcze w porę, żeby ujrzeć, jak Rickie podtrzymuje mdlejącą dziewczynę.

- Zawieziemy ją lepiej do domu – zwrócił się Martin do Anny Lyle. - Gdzie ona mieszka?

- Na ulicy Jeffersona, w pobliżu portu jachtowego. Miała jakieś kłopoty i musiała zrezygnować ze swojego mieszkania. Przeprowadziła się do mnie na czas poszukiwania czegoś nowego.

- Proszę wobec tego też pojechać... Rickie, wynieś pannę Williams do samochodu.

Martin pospieszył jeszcze do galerii. Doktor Casey pakował już swoją torbę.

- Wygląda na ten sam pistolet – zauważył.

- Oczywiście, że ten sam – stwierdził Martin i odwrócił się do jednego z detektywów. - Pogadajcie z portierem, ze wszystkimi, którzy byli w pobliżu. Ustalcie, czy ktoś widział chudego mężczyznę o kasztanowych włosach, w wieku około trzydziestu pięciu lat, z kościstą twarzą o obłąkańczym wyglądzie. I dajcie mi zaraz znać.

Spytał Annę Lyle o jej numer telefonu i podał go detektywom. Rickie przeniósł Lornę, przepychając się przez podniecony tłum i umieścił ją na tylnym siedzeniu w policyjnym samochodzie. Za nim szedł Robert Hilton, trzymając rękę na nagim ramieniu Anny Lyle. Zachowywał się, jakby stanowiła jego własność.

- Mam tu swój wóz, inspektorze. Czy mogę podwieźć panią Lyle?

- Naturalnie.

Wokół Martina zebrali się reporterzy. Udzielił im pełnej informacji. Zdawał sobie sprawę, że poddaje się w ten sposób takiej presji opinii publicznej, jakiej nie przeżył jeszcze w swojej karierze. Uznał jednak, że im więcej będzie rozgłosu o „człowieku o szatańskim śmiechu”, tym większe będą szanse powstrzymania dalszych zabójstw.

Skoczył do samochodu, gdy reporterzy rozbiegli się do telefonów. Pełnym gazem ruszyli za Hiltonem na wielki garb Wzgórza Nob. Gdy dotarli do szczytu i zaczęli

zjeżdżać po przeciwległym zboczach, widok Zatoki przed nimi, cichej i błękitnej, skojarzył się Martinowi bezsensownie z ciemną opalenizną Anny Lyle i jej miękkimi blond włosami. Wydało mu się, że oboje znajdują się na jego jachcie. Żagiel łopotał pod leniwą letnią bryzą...

Oburzony na siebie, nie mógł pojąć, co się z nim dzieje.

Mieszkanie Anny zajmowało najwyższe piętro niewielkiego białego domu w stylu misyjnym, stojącego tuż nad portem jachtowym. Rickie zaniósł Lornę do sypialni pani Lyle. Następnie przyłączył się do Martina, Anny i Roberta Hiltona, którzy pozostali w salonie. Inspektor przesłuchiwał tam Annę Lyle. Niewiele to dawało. Wyjaśniła, że trzy miesiące trwa już jej separacja od męża, Renshawa Lyle. Martin słyszał o nim. Był to jeden z najlepiej znanych w San Francisco filantropów, prezes licznych komitetów charytatywnych, a poza tym dyrektor Muzeum Sztuki oraz Opery.

Anna miała trochę własnych pieniędzy, a ponieważ w zbliżającym się procesie rozwodowym nie występowała o alimenty, musiała zdobyć środki utrzymania. Zawsze interesowała się sztuką nowoczesną. Kiedy dowiedziała się od Hiltona i Lorny, że Olin szuka wspólnika z kapitałem, wyraziła gotowość przystąpienia do spółki. Ale nic właściwie nie wiedziała o prywatnym życiu Olina, poza tym, że był to człowiek niezwykle uczciwy, zdolny i cieszący się szacunkiem w branży.

Również Robert Hilton nie miał do zaoferowania żadnych pożytecznych wiadomości. Podobnie było i z Lorną, gdy Martin raz jeszcze wdał się z nią w rozmowę. Stwierdziła tylko, że Olin przyszedł tego dnia do biura około jedenastej. Wyglądał zupełnie normalnie. Podyktował kilka listów, które ona wrzuciła do skrzynki, idąc na lunch. Po jej powrocie Olin wyszedł coś zjeść. Wrócił około trzeciej, a pół godziny później wysłał ją po rami. Tego dnia nie było gości w galerii, ponieważ zamknięta była dla publiczności w związku z przygotowaniem nowej wystawy.

Zadzwoił telefon przy łóżku, na którym leżała Lorna. Martin podniósł słuchawkę. Dzwonił jeden z detektywów z galerii obrazów „Newlands”.

- Wygląda na to, że nikt nie widział tego faceta – zameldował. - Sprawa beznadziejna. To duży biurowiec, masa instytucji, kręcą się tysiące ludzi. Portier rozmawiał z Olinem, kiedy ten wychodził na lunch. Twierdzi, że Olin był w wyjątkowo dobrym humorze. W rękę trzymał list. Wrzucił go do skrzynki w hallu podczas rozmowy z portierem.

Martin nakrył dłonią mikrofon telefonu.

- Panno Williams, czy pani jest pewna, że nadała pani wszystkie listy podyktowane przez Olina?

- Absolutnie pewna.

A więc był jeszcze jeden list... napisany prawdopodobnie przez Olina, kiedy Lorna wyszła na lunch. Nie było to dużo, lecz jednak coś.

- Dziękuję – powiedział do telefonu. - Starajcie się dalej. Przyjadę do was później, ale przedtem muszę jeszcze zająć się domem Twingów.

Skierował się do drzwi i minął się z Robertem Hiltonem.

- Wychodzę już – zwrócił się malarz do Lorny. - Jak się czujesz?

- Już dobrze. Sądziłam, że umówiliście się z Anną na kolację.

- Ona nie chce iść – skrzywił się Hilton. - Zamierza pozostać z tobą.

Martin wrócił do salonu. Anna Lyle siedziała z Rickiem przy oknie. Na ich widok inspektor poczuł nagle nieuzasadnioną zazdrość.

- Chodź, Rickie – zawołał i zaraz pożałował swego wybuchu. - To nie wieczorek towarzyski. Mamy robotę.

Pełen furii prowadził samochód do domu Twingów. Rickie siedzący obok niego nie zdawał sobie najwidoczniej sprawy z tej zmiany nastroju.

- Ta pani Lyle – powiedział – to przystojna babeczka.

- Babeczka! - obruszył się znów Martin. - Czy ty nie potrafisz myśleć o czymś innym, niż o dziewczynach?

- Ejże, co z tobą? - spojrzał na niego zdumiony chłopak.

- Co ze mną? Z tym szaleńcem na głowie, z dwoma trupami, z dwoma kandydatami na nieboszczyków... i ani kawałkiem śladu! A ty myślisz tylko o tej blondynie... - Ogarnął go nagle wstyd. Uśmiechnął się do bratanka. - Przepraszam, chłopcze.

Rickie poklepał go po ramieniu.

- W porządku. Policjanci mają prawo wściekać się. Zaczekaj tylko, aż zacznę regulować ruch. Całą ulicę doprowadzę do szału.

- A więc jednak wstąpisz do policji? - udobruchał się Martin.

- Nie martw się. Jeśli to jest typowy dzień pracy policjanta to na razie nie reflektuję.

Obok samochodu policyjnego przed starym, zapomnianym domem przy ulicy Jubileuszowej zaparkowane były jeszcze trzy inne wozy. Martin wraz z Rickiem pospieszył do hallu. Detektyw, który pozostał jako szef grupy, rozmawiał strapiiony z reporterami. Urwał się od nich na widok inspektora. Poszli do jadalni.

- Czy to prawda, co mówią gazeciarze? - spytał. - Że te dwa zabójstwa się łączą?

- Owszem, łączą się.

- Śmiejący się szaleniec w napadzie amoku! O rany, dostaniemy lanie, jeżeli nie rozprawimy się z nim szybko – detektyw był zrozpaczony. - A tutaj nic. Przeszukałem zaułek za domem, ale jest wybrukowany. Ani śladu opon. Żadnych sąsiadów. Nikogo, kto by cokolwiek widział. Jedno, co znalazłem w tym domu – wyłowił z koperty niedopałek papierosa. - Starsza pani twierdzi, że Twing był wrogiem palenia i picia. Znalazłem to w wazie, stojącej w bawialni.

Martin obejrzał niedopałek. Tuż nad filtrem wydrukowany był napis: „Marley”. Olin palił papierosy „Marley”. Pani Twing zeznała, że o dziewiątej trzydzięci był ktoś u syna. Jakiś mężczyzna. Olin zjawił się w galerii dopiero o jedenastej. Może wreszcie zaczyna się coś wiązać.

Olin musiał tu być. Żeby ostrzec Twinga przed groźącym im niebezpieczeństwem? Możliwe. Ale portier oświadczył, że Olin wychodząc na lunch był w wyjątkowo dobrym humorze.

Do bawialni wszedł szczupły, poważny pan w garniturze z kory.

- To jest pan Danvers z Galerii „Tynsona” - przedstawił go detektyw. - Ściągnąłem go, żeby obejrzał dom i stwierdził, czy znajduje się tutaj coś wartościowego.

Martin pokiwał głową.

- A gdzie jest pani Twing?

- Na piętrze. Pakuje się. Upolowałem tu taką damulkę, niejaką panią Ross, która pracuje w pobliżu w pralni. Przyszła zabrać staruszkę na noc do siebie.

W hallu opadli Martina reporterzy. Wywiódł ich jakoś na ulicę i zamknął drzwi. Rickiego posłał z ekspertem, panem Danversem do bawialni, a sam pospieszył na górę do sypialni pani Twing. Była już ubrana, pani Ross z pralni pomagała jej w pakowaniu małej walizeczki. Szukające po omacku ręce niewidomej odnalazły na stoliku przy łóżku oprawioną fotografię.

- A więc to pan, inspektorze – powitała wchodzącego Martina Fielda.

- Skąd pani wie, że to ja? - zdziwił się.

- Ślepcy zawsze rozpoznają kroki.

Pani Twing nie była już jak ta przerażona wyblakła lalka, którą widział ostatnio. Powróciła niemal całkowicie do równowagi, znacznie rażniejsza, ale i bardziej odstręczająca, wyglądała teraz na taką, która nie zareagowała, gdy syn i miss Van Loon wyrzucali z domu jej wnuczkę.

Martin spojrział na fotografię, którą trzymała w ręku. Ukazywała kanciastą starszą damę z zaciśniętymi wargami, siedzącą w bawialni na parterze pod dwoma obrazami obok wypchanego pekińczyka pod szklanym kloszem.

- Czy to miss Van Loon?

Pani Twing poklepała z szacunkiem ramkę fotografii.

- To jedyna po niej pamiątka. Zawsze mam przy sobie tę fotografię.

- A co z Evangeliną?

Staruszka ściągnęła usta.

- Niech pani mu powie – odezwała się pani Ross. - Niech pani powtórzy inspektorowi, co pani mówiłam... - Nie dała jednak okazji pani Twing i ciągnęła dalej. - Evangelina jest zamieszana w to wszystko. Ja wiem. Widziałam ją!

- Widziała ją pani!

- Wczoraj – pani Ross kiwała energicznie głową. - Odniosłam tutaj pranie. Tylko koszule pana Twinga i trochę drobiazgów. Większych sztuk już nie mogę prac. Bardzo wcześnie to było. Około dziewiątej rano. Skręciłam w ulicę Jubileuszową i ta dziewczyna zbiegała właśnie ze schodów, a pan Sylwester stał w drzwiach i patrzył za nią.

- Jak wyglądała?

- Nosiła białą sukienkę i szal na głowie. Tyle tylko mogę powiedzieć. Pobiegła szybko w przeciwnym kierunku i skręciła za skrzyżowaniem. Ale widziałam ją.

- Czy syn mówił pani – zwrócił się inspektor do pani Twing – że dziewczyna była tu wczoraj?

- Sylwester nigdy mi nic nie mówił, chyba że miał jakiś powód.

- A pani nic nie słyszała... żadnych głosów, kroków?

- Chyba spałam.

- Ale ja ją widziałam – upierała się pani Ross. - I powiedziałam zaraz panu Twingowi: „A więc miał pan gościa”. Popatrzył tylko na mnie i nic nie odpowiedział. Zawsze był strasznym milczkiem. Zachowywał się jednak jakby trochę inaczej. Nigdy nie znałam Evangeliny. Odeszła, zanim zaczęłam tu pracować. Jasne, że to była ona. Wróciła, żeby wyłudzić od pana Twinga pieniądze. Dowiedziała się, że odziedziczył dom. On nie chciał jej dać, więc nasłała tego człowieka, tego okropnego, śmiejącego się człowieka.

- Potrzebna mi będzie fotografia Evangeliny – przerwał jej Martin. - Ma pani jakieś zdjęcie pani Twing?

Staruszka zawahała się, wreszcie wzruszyła ramionami.

- Jest tam jedno w komodzie. Środkowa szuflada. Stara fotografia.

Martin znalazł to zdjęcie. Leżało na dnie szuflady. Ujrzał ładną, wesołą buzię, z arogancką minką. Dziewczyna mogła mieć wtedy około dwiętnastu lat. Miała na sobie obcisły sweter.

- Czy tę dziewczynę pani widziała? - Martin podsunął zdjęcie pracze.

Wpatrywała się dokładnie.

- Cóż... mówiłam przecież, że nie widziałam jej dokładnie. Zwróciłam uwagę głównie na tę białą sukienkę. - Po chwili dodała jednak oburzona: - Oczywiście, że to była Evangelina! Kto mógł być inny?

Martin zastanawiał się. Czy pani Ross miała rację? Czy to wszystko wiąże się właśnie z Evangeliną? Sylwester wyrzucił z domu córkę przez jakiegoś mężczyznę. A jeśli ten mężczyzna był chory psychicznie? Evangelina mogła być również skrzywdzona, naprawdę, albo w wyobraźni jej kochanka, przez Bernarda Olina, przez nieznanego George'a i przez nieznaną Ramonę... Czy ten kochanek, oszalały z nienawiści mógł wszcząć tę obłąkańczą operację zemsty?

- W jakim wieku jest teraz Evangelina? - spytał panią Twing.

- W sierpniu skończy dwadzieścia trzy lata.

- A ten mężczyzna, od którego zaczęły się jej kłopoty... Kto to był?

- Nic o nim nie wiem. Myślę, że jeden z bywalców tych okropnych nocnych spelunek – pani Twing odpowiadała lodowatym głosem. - Mówiłam panu przecież, Sylwester zawsze unikał opowiadania mi o rzeczach nieprzyjemnych. Sylwester załatwiał wszystko sam. - Jej wargi zaczęły drżeć. - Sylwester był zawsze taki troskliwy, taki dobry dla swojej starej matki. A teraz... - załkała. - Och, co teraz ze mną będzie? Jestem sama, samiuteńka...

- Czy syn zostawił testament?

- Nie, nie. Nigdy nie myślał, że umrze przede mną.

W tej sytuacji majątek odziedziczy jego córka, Evangelina. Evangelina. Może zjawi się, o tym dowie. Kto wie?

Wychodząc z pokoju, słyszał, jak pani Ross uspokaja staruszkę.

- No, już dobrze, pani Twing. Niech pani się tak nie martwi, jakoś to będzie.

Na dole wezwał Rickiego i razem pojechali do komendy. Sprawozdanie eksperta z galerii, które go tam oczekiwało, było bardzo znamienne. Meble i obrazy w domu przy ulicy Jubileuszowej pochodziły z najgorszego okresu zdobnictwa wiktoriańskiego. Wśród nich znalazło się jeszcze mnóstwo fałszywych antyków europejskich, prawdopodobnie podsuniętych miss Van Loon przez niesolidnych handlarzy.

Inspektor Martin Field spędził w komendzie zaledwie pół godziny. Napisał wstępny meldunek o obu morderstwach i pozostawił fotografię Evangeliny w celu przekazania prasie. Potem wraz z bratankiem pojechał z powrotem do galerii obrazów „Newlands”.

Chłopcy z jego brygady nie wykryli tam niczego. Martin zatelefonował do Anny Lyle i spytał, czy słyszała kiedyś o Evangelinie Twing i jej ewentualnych związkach z Olinem. Nie miała o tym pojęcia. Także i Lorna odpowiadała negatywnie na to pytanie. Głos Anny wywołał w nim to samo podekscytowanie, o które miał już przedtem do siebie pretensję. Tłumaczył sobie, że jest zmęczony, spłoszony sprawą, która tak beznadziejnie wymykała mu się z rąk. Stąd zapewne ta obsesja na punkcie dziewczyny, której przecież nie znał.

Po powrocie do domu postanowił ugotować coś na kolację. Właściwie już od przyjazdu Rickiego wprowadził ten zwyczaj. Stwarzało to coś w rodzaju rodzinnego nastroju, coś, czego nigdy nie doznał od lat dziecińczych. Miał nadzieję, że tego wieczoru pomoże mu to w odprężeniu. Ale nie pomogło.

ROZPRAWIĘ SIĘ Z WAMI WSZYSTKIMI... Z TOBĄ, SYLWESTRZE... Z BERNARDEM, GEORGE'EM I RAMONĄ...

Po kolacji pojechał jeszcze do komendy. Znów zadzwonił do Anny Lyle, prosząc o spis przyjaciół i znajomych Olina oraz wszystkich George'ów jakich znał. Wraz z Lorną przekazały mu około dwudziestu nazwisk. Zaczął do nich telefonować. Niektórzy sądzili zrazu, że to kawał. Nikt z nich nie słyszał o Twingach, ani o żadnej Ramonie, czy jakimś szczególnym George'u. Koło północy zostało mu jeszcze kilka nazwisk, lecz uznał, że już za późno na dalsze telefoniczne rozmowy. Wszedł z komendy i kupił nocne wydanie gazety. Wszystko tam było rozkrzyczane poprzez całą szerokość pierwszej strony:

CZŁOWIEK O SZATAŃSKIM ŚMIECHU, OBLĄKANY MORDERCA ZABIŁ DWIE OSOBY... OCZEKIWANIE DALSZYCH OFIAR... KIM JEST GEORGE? KIM JEST RAMONA?

Było też zdjęcie Evangeliny Twing, spoglądającej wesoło i raczej obojętnie spod tytułowych czcionek.

„Inspektor Field” - czytał w sprawozdaniu - „znalazł się wobec najtrudniejszej sprawy w swojej karierze. W tej chwili jest zupełnie dezorientowany...”

Inspektor Field był rzeczywiście zdezorientowany. I tę sprawę wybrał akurat, żeby zainteresować Rickiego perspektywami policyjnej kariery!

Kiedy wrócił do domu, bratanek już spał. Martin też poszedł do łóżka.

Nazajutrz obudził się o w pół do ósmej. Rickie spał nadal. Nie budził go. Wypił kawę i pieszo udał się do komendy. Większość kiosków z prasą była już otwarta. Ze wszystkich gazet uragał mu „Człowiek o szatańskim śmiechu”, George, Ramona, Evangelina, Twing. Jeden z tytułów brzmiał złowrogo:

KIEDY CZŁOWIEK O SZATAŃSKIM ŚMIECHU ZNÓW ZAATAKUJE?

W komendzie było nawet gorzej, niż się spodziewał. Przez całą noc napływały meldunki. Przeżalone kobiety słyszały obłąkańczy śmiech pod swoimi oknami, na schodach przeciwpożarowych, za drzwiami swoich sypialni. Dziesiątki ludzi ze wszystkich stron miasta widziały mężczyznę z wychudłymi twarzami i wybałuszonymi oczami. Niektórzy przemykali się po zaułkach, inni ginęli za narożnikami ulic, jeszcze inni prześlizgiwali się z podejrzanych knajp.

Wyglądało na to, że do komendy dzwonił każdy George i każda Ramona, mieszkający w San Francisco. Wstrząśnięci wspomnieniami jakich epizodów z przeszłości, obciążających ich sumienia, przekonani, że to właśnie oni staną się kolejnymi ofiarami, błagali o ochronę policyjną.

„Człowiek o szatańskim śmiechu” rozpalil wyobraźnię miasta. Rozprzestrzeniająca się histeria groziła zdławieniem szans na prawdziwe informacje. Martin, zwalczając własny niepokój, przeglądał meldunki, napływające nadal nieustającym potokiem.

Żadnych śladów prowadzących do Evangeliny Twing.

I żadna ze wskazówek dotyczących „Człowieka o szatańskim śmiechu” nie wyglądała na realną. Nikt z George'ów i Ramon, zgłaszających się telefonicznie, nie miał żadnego związku ze sprawą.

Martin sam także zajął się przyjmowaniem tych telefonów. Zgłosiła się jakaś przerażona Meksykanka, imieniem Ramona, która trajkotała niezrozumiale po hiszpańsku. Dzwonił mężczyzna, który twierdził, że dopiero co widział „Człowieka o szatańskim śmiechu” na promie z Oakland. Inny telefon, w chwilę później pochodził od kobiety, która go widziała właśnie w parku przy Złotym Wrotach.

- Tak jest... Dziękuję... Sprawdzimy...

Rzucił słuchawkę na widełki. Telefon znów zadzwonił. Kobięcy głos, piskliwy z podniecenia.

- Ja w sprawie tego „Człowieka o szatańskim śmiechu”! On tu był. Przed chwilą odjechał samochodem. Słyszałam jego śmiech. I nie tylko ja. Portier też słyszał. Mnóstwo nas słyszało!

Pełen sceptycyzmu, Martin poprosił o adres.

- Larchmont 1400. Rosyjskie Wzgórze. Musiał być w jednym z mieszkań w naszym domu. Ale nie widzieliśmy go. Słyszeliśmy tylko jego śmiech, kiedy już odjeżdżał...

Ktoś poklepał Martina po ramieniu. Obejrzał się. Stał za nim jeden z pracowników, zarośnięty i wymęczony.

- Jest następny, inspektorze.

- Zabity?

- Tak. Otrzymaliśmy w tej chwili telefoniczny meldunek.

- Zajmij się tym... - wręczył mu słuchawkę, a sam podskoczył do innego aparatu.

- Słucham. Tu inspektor Field.

- Przyjeżdżajcie natychmiast na Larchmont 1400. Popełniono morderstwo.

- Larchmont 1400?

- Zgadza się. Zamordowany nazywa się Renshaw Lyle. Znalazłem go właśnie zastrzelonego w łóżku. Jestem jego sekretarzem, nazywam się Joseph Crummit.

Niektórzy ludzie w tym domu słyszeli śmiech. Myślę, że to ten „Człowiek o szatańskim śmiechu”.

Martin odłożył słuchawkę. Zerknął na zegarek. Dziewiąta osiemnaście. Właściwie był przecież na to przygotowany, a czuł się tak, jakby zadano mu ciężki cios. Renshaw Lyle! Mąż Anny Lyle! Nie George i nie Ramona.

Podbiegł do niego funkcjonariusz, któremu przekazał poprzednią rozmowę.

- Niewiasta w domu przy Larchmont mówi, że wielu mieszkańców słyszało tam tego śmiejącego się. Wygląda na to, że wszystko się zgadza.

- Tak, wszystko się zgadza.

Doktora Caseya nie było w komendzie. Martin polecił zawiadomić go telefonicznie, żeby przyjechał na Rosyjskie Wzgórze. Zabrał ze sobą trzech niewyspanych detektywów i pobiegł do samochodu.

Jechali przez ruchliwe o tej ранней porze ulice miasta. Fieldowi wydawało się, że z zatłoczonych chodników emanuje przerażenie i jakieś chorobliwe podekscytowanie przechodniów. Nastrój ten udzielał się także jemu. Mąż Anny Lyle! Wszystko to już nie do opanowania, jak roznosząca się morowa zaraza...

Dom oznaczony numerem 1400 przy Larchmont był nieduży i dyskretnie luksusowy. W hallu kłębiła się grupka rozgorączkowanych mężczyzn i kobiet. Skupili się wokół Martina, mówiąc wszyscy razem.

- Słyszałem śmiech... z ulicy... kiedy wóz ruszał... Ten śmiech! Od samego śmiechu cierpnie skóra...

Młody brunet, elegancko ubrany, o bardzo delikatnych rysach, precyzyjnie się do inspektora. Za nim podszedł stary, umundurowany portier.

- Jestem Joseph Crummit – przedstawił się młody człowiek. - Portier widział dziś rano pana Lyle. Chyba i z nim będzie pan chciał rozmawiać.

- Za chwilę... - Martin Field przywołał dwóch detektywów. - Spiszcie zeznania wszystkich tych ludzi i przynieście je do mnie.

Wszedł do windy z sekretarzem, portierem i trzecim detektywem. Joseph Crummit wyjaśnił, że Renshaw Lyle poleciał przed czterema dniami do Chicago na jakąś akcję charytatywną. Zamierzał wrócić dopiero po tygodniu i udzielił nawet na ten czas urlopu swemu służącemu. Zostawił Crummitowi polecenie, aby przychodził codziennie rano karmić jego dwa syjamskie koty i zajął się pocztą.

- Przyszedłem dzisiaj, jak zwykle piętnaście po dziewiątej. Nie spodziewałem się zastać pana Lyle. Znalazłem go w łóżku...

Martin słuchał przygnębiony. Coraz bardziej malały jego nadzieje. Nawet sekretarz nie spodziewał się powrotu Renshawa Lyle do San Francisco. Lecz „Człowiek o szatańskim śmiechu” wiedział o tym. Skąd? A może zastał go przypadkowo, pędzony swoim obłąkańczym pragnieniem zemsty?

- Pan Lyle wrócił, ponieważ wcześniej zakończył pracę w Chicago. Tak mi powiedział – włączył się portier aż sapiący z poczucia nagłej ważności. - Byłem w hallu, kiedy przyszedłem dziś rano. Około ósmej. Mówił, że źle spał w samolocie i zaraz położył się do łóżka. Prosił, żebym przyniósł pocztę po przyjściu listonosza. Zaniósłem ją o wpół do dziewiątej. Otworzył mi drzwi w pidżamie. Był całkiem w porządku, tak jak zawsze. Spytałem, czy nie potrzebuje czegoś jeszcze. Powiedział, że nie. Zszedłem więc do piwnicy naprawić bojler, a potem, tak około dziewiątej usłyszałem tego z szatańskim śmiechem. Z ulicy. Co za śmiech! Wariacki!

Winda dotarła do nadbudówki na tarasie dachu. Joseph Crummit otworzył drzwi kluczem. Poprowadził przez olbrzymią bawialnię do pokoju sypialnego, skąd roztaczał się szeroki widok na Zatokę. Na wielkim łóżu z baldachimem leżał mężczyzna w pidżamie. Wokół niego na pogniecionej pościeli rozrzucone były gazety, listy i puste koperty. Miał lat około czterdziestu, twarz ascetyczną, o arystokratycznych rysach. Krew z postrzałowej rany tuż nad sercem poplamiała cały przód pidżamowej kurtki.

Na parapecie okiennym przysiadły dwa syjamskie koty, obserwujące zwłoki znudzonym, obojętnym wzrokiem.

- Tak go zastałem – kręcił się niepewnie Joseph Crummit. - Niczego nie tknąłem. I natychmiast pana wezwałem.

Martin podniósł z łóżka jedną z pustych kopert. Była zaadresowana do pana G. Renshawa Lyle.

- Jakie jest pierwsze imię pana Lyle? - spytał Crummita.

- George.

Martin był bliski rozpacz. George Renshaw Lyle! A więc od samego początku istniał ten George, wspomniany przez „Człowieka o szatańskim śmiechu”. Z uczuciem doznanej klęski mieszało się teraz uczucie gniewu. Dlaczego, na litość boską, Anna Lyle nie powiedziała mu, że jej własny mąż ma na imię George?

Poleciał detektywowi, który znalazł się z nimi w mieszkaniu, aby zadzwonił do pani Lyle i wezwał ją natychmiast.

Przyjrzał się zwłokom. Renshaw Lyle został zamordowany w łóżku. Jasne było, że gdyby miał otworzyć drzwi, nie wracałby do łóżka, żeby go tam zastrzelono. „Człowiek o szatańskim śmiechu” włamał się do mieszkania.

Podszedł do okna. Koty zeskoczyły niechętnie z parapetu. Sześć pięter dzieliło mieszkanie od ulicy. Rozejrzał się po reszcie pomieszczeń. Drzwi kuchenne zamknięte były od wewnątrz na zasuwę. Drzwi od schodów przeciwpożarowych znajdowały się poza mieszkaniem, obok windy. Zagadnął portiera:

- Czy po przyjęciu poczty, pan Lyle na pewno zamknął frontowe drzwi?

- Na pewno. Widziałem przecież.

Czyżby miał klucz? „Człowiek o szatańskim śmiechu” z kluczem! W jaki sposób szaleniec dokonujący zemsty za coś z przeszłości mógł mieć klucz do tego mieszkania? Chyba, że...

Martin Field powrócił do sypialni, gdzie zastał już przybyłego właśnie doktora Caseya. Klucze Renshawa Lyle leżały na komodzie wśród niewielkiej ilości bilonu. Martin zwrócił się do Josepha Crummita:

- Kto poza pańskim szefem miał klucze do tego mieszkania?

- Jeden komplet miał służący. Ale oddał je mnie, wyjeżdżając na urlop. Nikt więcej... no, jeszcze pani Lyle.

- Pani Lyle?

Złośliwe błyski zapłonęły w oczach młodego człowieka.

- Pan Lyle rozwodzi się z nią. Kiedy odeszła przed trzema miesiącami, zabrała ze sobą swoje klucze. Pisałem do niej, prosząc o zwrot, lecz...

- Sądziłem, że o rozwód wystąpiła pani Lyle – zauważył inspektor Field.

- O, to oficjalna wersja – Joseph Crummit zbył ją wzruszeniem ramion. - Może to niedyskretne z mojej strony, ale w grę wchodził Robert Hilton.

- Artysta malarz?

- Tak jest.

Anna Lyle miała klucze. Anna Lyle, która stwierdziła, że nie ma pojęcia o „Człowieku o szatańskim śmiechu”. Anna Lyle, przeciw której ze skargą rozwodową wystąpił jej małżonek. Wzburzony tymi myślami, Martin zebrał rozrzucone na łóżku listy. Było ich cztery: od prezesa stowarzyszenia muzycznego, sprawozdanie z Muzeum Sztuki, wyciąg z konta funduszu na walkę z rakiem i zawiadomienie z centrali opieki społecznej w Waszyngtonie. Popatrzył na Crummita.

- Osoba o tak szerokich zainteresowaniach powinna otrzymać więcej listów przez cztery dni.

- To tylko dzisiejsza poczta. Załatwiałem codziennie korespondencję. Reszta jest w bibliotece na biurku.

- Czy był pan tu wczoraj?

- Byłem. Aż do południa. Jestem historykiem sztuki i przygotowuję książkę o malarstwie holenderskim. Pan Lyle posiada wspaniały zbiór źródłowych książek. Łatwiej mi tutaj pracować.

- Czy stało się coś szczególnego wczoraj rano?

- Nic niezwykłego. Jakies telefony.

- W jakich sprawach?

- Wszystkie związane z zainteresowaniami pana Lyle. Poza jednym. Dzwonił jakiś mężczyzna i chciał mówić z panem Lyle. Powiedziałem mu, że wyjechał na tydzień do Chicago. Nie podał nazwiska.

- O której to było?

- O jedenastej.

Martin zwrócił się do portiera:

- Ile pan przyniósł dzisiaj listów? Pamięta pan może?

Starszy człowiek skinął potakująco.

- Przeliczyłem je. Było ich pięć i jakiś rachunek.

- Na pewno pięć?

- Na pewno.

Przyniesiono pięć listów, a na łóżku leżały tylko cztery. Martin rozejrzał się po sypialni. Nie odnalazł piątego. Poprosił Josepha Crummita o sprawdzenie wcześniejszej poczty na biurku w bibliotece. Sekretarz wyraził przekonanie, że nie dodano tam żadnego listu. A więc piąty list zaginął. Musiał go zabrać „Człowiek o szatańskim śmiechu”.

Martin przypomniał sobie: wczoraj Olin wysłał list, którego nie pokazał Lornie Williams. Czy to Olin był tym, który telefonował do Renshawa Lyle i nie podał nazwiska? Czy ten zaginiony list napisał Olin, żeby ostrzec Renshawa Lyle, podobnie, jak być może, ostrzegł on również Sylwestra Twinga?

Odezwał się dzwonek u frontowych drzwi. Otworzył je detektyw i Martin usłyszał głos Anny Lyle. Odwrócił się i zobaczył ją wchodzącą do bawialni. Znow nosiła białą suknię i w słonecznym świetle, wpadającym przez okno, wydała mu się olśniewająca.

Gdy jednak zbliżała się szybko ku nim, Martin wybuchnął gniewnie, podrażniony niejasnym podejrzeniem.

- Dlaczego nie powiedziała pani, że mąż ma na imię George?

- Żebym tylko pomyślała o tym! Nazywaliśmy go zawsze Rennie. Nikt nigdy nie nazywał go George. A zresztą interesował się pan przecież przyjaciółmi Bernarda. Rennie nie znał Bernarda. Nienawidził tej nowoczesnej sztuki. Zajmował się tylko starymi mistrzami. Nigdy nie zetknął się nawet z Bernardem... - urwał na moment. - Czy to ten „Człowiek o szatańskim śmiechu”?

- Owszem, ten - wtrącił Joseph Crummita.

- Ale co mógł Rennie mieć wspólnego z tym wszystkim... z tą całą makabrą, panie inspektorze? Był najzyczliwszym, najkulturalniejszym człowiekiem na świecie. I nie znał tych wszystkich Swingów, nie znał nikogo o imieniu Ramona. Jestem tego pewna - popatrzyła na Crummita. - Prawda, Joe?

- Też nie słyszałem.

Martin poprowadził ją do pokoju sypialnego. Doktor Casey był tam nadal. Koty rozłożyły się na dywanie u jego stóp. Anna stanęła za łóżkiem z twarzą ściągniętą bólem i zdumieniem.

- Biedny Rennie... - szepnęła.

- Dowiedziałem się, że pani ma klucze do tego mieszkania - powiedział Martin.

- Klucze? - odwróciła się do niego. - Tak, chyba mam. Po odejściu wciąż zamierzałam je odesłać, lecz zapomniałam.

- Gdzie one są?

W domu. U mnie w domu.

- Kto jeszcze miał klucze?

- Tylko Rennie i służący. Joe nigdy nie miał kluczy... A dlaczego pan pyta?
- Zabójca pani męża wszedł sam do mieszkania – Martin unikał jej wzroku. –
Pojeździemy do pani i sprawdzimy, czy klucze są tam jeszcze.

Polecił detektywowi spisać dokładnie zeznanie Josepha Crummita.

- Wróć tu potem – dodał. – Jeżeli będziesz mnie potrzebować, zadzwoń do pani Lyle.

W drzwiach natknęli się na jednego z detektywów, który nadjechał windą z hallu.

- Sprawdzaliśmy te wszystkie historie o „Człowieku o szatańskim śmiechu”, inspektorze. Wszyscy powtarzają jedno, ale to nie warte funta kłaków. Nikt go nie widział, ani nawet nie słyszał w samym budynku. Tylko na dworze, w samochodzie. Słyszeli obłąkańczy śmiech i niektórzy podbiegli do okien. Widzieli odjeżdżający samochód. Jeden mówi, że to był granatowy, mały wóz, ktoś twierdzi, że czarna limuzyna, inny zaklina się, że ciemnozielona. Normalka. W każdym razie odjechał samochodem.

Martin zjechał z Anną do hallu. Zdażyli już się zebrać reporterzy. Na jego widok ruszyli do ataku.

- A więc załatwił George’a, panie inspektorze, tuż panu przed nosem... Sylwester, Bernard, George... Trzy do zera... Teraz czekamy na czwarty strzał... Inspektorze, jakie szanse ma teraz Ramona?

Przecisnął się między nimi do policyjnego auta. Histeria się wzmoże. Napłynie jeszcze więcej gorzkich narzekań na nieudolność policji... na jego nieudolność... Dla Martina, który poza swoją pracą nie miał nic w życiu, to uczucie osobistej klęski było nieznośne.

Jechali przez ulicę Hyde. Oszałamiała go bliskość siedzącej obok Anny. Podsycał w sobie gniew wobec niej.

- Powiedziała pani wczoraj, że to pani zwróciła się o rozwód.

- Tak jest.

- Dlaczego?

Zerknęła na niego zdziwiona.

- Zwykła rzecz. Nie kochałam go. Właściwie nigdy go nie kochałam.

- To dlaczego wyszła pani za niego?

- Wtedy wydawało mi się, że go kocham. To było trzy lata temu. Byłam bardzo młoda. Oboje moi rodzice umarli i pozostawili mi trochę pieniędzy. Studiowałam malarstwo i poznałam Renniego w muzeum. Zdecydowało chyba moje osamotnienie i oszołomienie faktem, iż ktoś tak ważny może być dla mnie taki dobry... w tak widoczny sposób zakochany we mnie.

Milczała przez chwilę, a potem ciągnęła dalej.

- Właściwie oszukiwałam sama siebie. Dość długo trwało zanim uświadomiłam sobie, że po prostu pozwalam się kochać, nie odwzajemniając tego uczucia. Było to beznadziejnie jednostronne, a Rennie zasługiwał na coś więcej. Pewnego dnia zdobyłam się na szczerą rozmowę. Bardzo go to zabolalo. Sądzę, że nie pojął właściwie moich intencji. Myślał, że musi być ktoś trzeci.

- A nie było?

- Nie. Chyba nie potrafię się zbyt łatwo zakochać.

- No, a Hilton?

- Na litość boską, skąd!

- On panią kocha.

Wzruszyła ramionami.

- To tylko jego romantyczny program na lato. Dla Roberta miłość to zwykłe hobby. Owszem, lubię go. Uważam, że jest dobrym malarzem. Nie ma absolutnie nic... - urwała. – Ale dlaczego pan pyta?

- Joseph Crummita oświadczył, że mąż pani złożył skargę rozwodową, ponieważ ma pani romans z Hiltonem.

Martin oczekiwał, nawet miał nikłą nadzieję, że ona się oburzy, albo chociażby okaże zażenowanie. Na jej twarzy odmalowała się jednak tylko rezygnacja.

- Joe wierzy w to prawdopodobnie. Jest dalekim kuzynem Renniego. Właściwie jedynym żyjącym krewnym. Ma niezwykle rozwinięte poczucie rodowej dumy. Nigdy nie uważał, że jestem odpowiednią partią dla kogoś z rodziny Lyle.

- Pani mąż był bardzo bogaty. Kto po nim dziedziczy?

- Naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że majątek przejdzie na jakieś cele dobroczynne.

- Nic dla pani?

Zarumieniła się lekko.

- Jeśli nawet by tak było, nie przyjąłabym nic.

- A to czemu?

- Jeśli komuś nie dało się nic, nie należy od niego nic przyjmować – odwróciła się nagle i popatrzyła na Martina. – Pan to rozumie.

- Dlaczego właśnie ja?

- Ponieważ pan postąpiłby podobnie. Nie należy pan do tych, którzy przyjęliby cokolwiek bez uzasadnienia.

Uwaga ta, tak niespodziewanie osobista, wytrąciła go z równowagi. Skreślił w ulicę Jeffersona. Znowu mijali port jachtowy i Martin dostrzegł swoją żagłówkę, kołyszącą się wśród zacumowanych łodzi. Ten widok przywrócił wczorajsze marzenia... On z Anną na wodach zatoki, ostry smak soli w powietrzu, błękitne niebo. Wbrew samemu sobie poddał się podniecającemu nastrojowi...

Robert Hilton otworzył im drzwi. Był wyraźnie zdenerwowany i zaniepokojony.

- Telefonowałem do Lorny, żeby dowiedzieć się, co z nią. Powiedziała mi o Rennim. Przyjechałem zaraz. Czy to ten sam, co zabił Bernarda? Ten śmiejący się człowiek?

Anna skinęła smutno głową.

- Panie inspektorze, czy mam przynieść te klucze? Są w moim pokoju sypialnym.

- Pójdę z panią.

W sypialni leżała zbiedzona, wybladła Lorna.

- Anno, czy to prawda? – spytała.

- Niestety, tak.

- Och, Anno, jak mi żal. Ale przecież pan Olin nie znał Renniego. Jestem tego pewna. Wspomniał o tym, kiedy przystępowałaś do spółki. To wszystko jest... szalone.

Anna otworzyła małą, skórzaną szkatułkę na biżuterię, stojącą na toalecie. Odwróciła się gwałtownie.

- Kluczy tu nie ma!

- Na pewno tam leżały? – zbliżył się Martin.

- Z całą pewnością... Lorno, czy nie widziałaś kluczy do mieszkania Renniego?

- Nie. Zapomniałam nawet, że je masz.

A więc jednak: wyraźne ogniwo łączące tych ludzi z „Człowiekiem o szatańskim śmiechu”, konkretne uzasadnienie podejrzeń. Klucze Anny Lyle! Implikacje były potworne. Jeśli „Człowiek o szatańskim śmiechu” był na tyle zorientowany, że szukał kluczy w mieszkaniu Anny Lyle, to nie był tylko jakąś nieokreśloną postacią z przeszłości. Co najmniej należał do kręgu znajomych, był kimś na tyle związanym z Anną Lyle, że mógł... Właśnie, co mógł? Czyżby to sprytny morderca pozorujący obłąd? Ktoś, mający współnika, albo współniczkę?

Martin przypomniał sobie nagle ową dziewczynę w białej sukience, którą praczka widziała wychodzącą z domu przy ulicy Jubileuszowej. Biała sukienka. Czy biała sukienka Anny?

Zadzwonił telefon przy łóżku. Lorna przyjęła i przekazała słuchawkę inspektorowi. Mówił detektyw z mieszkania Renshawa Lyle.

– Przed chwilą była wiadomość z komendy. Szukają cię, Martin, znaleźli ślad Evangeliny Twing.

– Przyślij tutaj jednego z chłopców – polecił Fidel przed odłożeniem słuchawki. Potem spojrzął na Annę. – Niech pani przewróci mieszkanie do góry nogami i upewni się, że nie ma tych kluczy. Przyjdzie tu jeden z moich ludzi. Proszę złożyć przed nim wyczerpujące zeznanie.

– Nie rozumiem – wyraz Anny zdradzał zdenerwowanie. – W jaki sposób „Człowiek o szatańskim śmiechu”...

– Chciałbym też wiedzieć – odparł pośpiesznie Martin. – Omówimy to jednak kiedy indziej. Teraz spieszę się bardzo.

Z nieostrożnym pośpiechem pojechał do komendy. W swoim biurze zastał Rickiego. Na widok bratanka poczuł się jeszcze bardziej zawstydzony. Zdawał sobie sprawę z poniesionej porażki. Czuły uśmiech Rickiego był jednak zachęcający.

– Cześć, Mart. Dlaczegoś nie zawiadomił swego pomocnika o jastrzębim wzroku, że całe miasto się zapada? Kiedy wstałem, zadzwoniłem tutaj i powiedzieli mi o tym Lyle. Czekam na ciebie już godzinę, żeby zameldować się do służby...

Policjant wprowadził wysoką, rudowłosą dziewczynę.

– To panna Amory – przedstawił ją. – Telefonowała w sprawie Evangeliny Twing. Kazaliśmy jej zgłosić się zaraz.

Panna Amory przyglądała się wnikliwie obecnym mężczyznom.

– Który to jest inspektor? – spytała wreszcie.

– To ja – wysunął się Martin.

– W sprawie tej dziewczyny ze zdjęcia w gazecie. Evangeliny Twing. Coś niecoś przeżyła od czasu, kiedy robili jej tę fotografię, ale to na pewno ona. Dobrze pamiętam twarz. Występowała razem ze mną przed miesiącem w bardzo marnej knajpie, która nazywa się „Złoty Mandaryn”. Śpiewała miłosne piosenki. Robiła taki meksykański numer, który mógł być równie meksykański, jak holenderski. Występowała wprawdzie pod innym nazwiskiem. – Zachichotała. – I tu padnie pan trupem, szefie... Nazwisko, jakie nosiła, a było to prawie wszystko, co nosiła w tej knajpie, brzmiało Ramona Gonzales.

Evangelina... Ramona... Teraz już wszystko się zgadzało.

– Gdzie jest ten „Złoty Mandaryn”, panno Amory?

– Przy jednej z bocznych uliczek, odchodzących od Alei Kolumba. Nazywał się Benley.

– Jedziemy – zwrócił się inspektor do bratanka.

Pojechali przez zatłoczone, krzykliwe Chinatown. Martinowi wydawało się, że zbrodnica infekcja, jaką „Człowiek o szatańskim śmiechu” zaraził miasto, czai się nawet wśród tych orientalnych, kamiennych twarzy, w sklepikach z tandetnymi drobiazgami, między łopoczącymi flagami z wymalowanymi rzędami hieroglifów.

Po raz pierwszy wyprzedzał tamtego o krok. Ramona i Evangelina były jedną osobą. Miał rację od samego początku, uważając, że ta cała obłąkańcza makabra ma swoje korzenie w rodzinie Twingów. Mylił się jedynie w tym, że Evangelina jest współniczką „Człowieka o szatańskim śmiechu”. Evangelina miała być kolejną ofiarą. Ofiarą, która przy odrobinie szczęścia będzie mogła odsłonić całą tajemnicę... jeśli tylko uda mu się ją uratować.

„Złoty Mandaryn”, ukryty w mrocznym zaułku, był zamknięty. Walenie do drzwi spowodowało starą, zasuszoną Chinkę, która zaprowadziła ich do ciemnego baru. W kącie salki zgromadzono bezładnie stoliki. Zjawił się podejrzliwy, zarośnięty, właściciel w brudnym szlafroku kąpielowym.

– Ramona Gonzales? Podrabiana Meksykanka? Naturalnie. Ale ona nie pracuje już tutaj.

– Gdzie możemy ją znaleźć?

– Nie moja sprawa. Spytajcie Shirley. Ona angażuje artystki – wyjaśnił Martinowi i zawołał w ciemność: – Shirley!

Którymiś drzwiami weszła krępa blondynka w średnim wieku. Włosy miała w papilotach.

– Shirley... panowie władza – zaprezentował właściciel. – Szukają Ramony Gonzales. Pamiętasz? Podrabiana Meksykanka...

– Meksykanka, Chinka, Marsjanka... dla mnie wszystkie są jednakowe. Mam ich adresy w zeszycie – blondynka przeszła za kontuar baru, pogmerała i wyłowiła skądś poszarpany na rogach, czarny zeszyt. – Kiedy to było?

– Jakiś miesiąc temu.

Jej purpurowe paznokcie migwały wśród stronic.

– Jest. Ramona Gonzales. Ulica Filmowe – podała jeszcze numer domu.

W ciągu pięciu minut Martin i Rickie znaleźli się pod wskazanym adresem. Rudera była straszna. Przed odrapanymi drzwiami bawiły się i wrzeszczały dzieci. Z mrocznej głębi sieni wydobyła się tłusta dozorczyńni w fartuchu upstrzonym plamami.

– Ramona Gonzales? Ostatnie piętro.

– Czy jest w domu?

– Skąd mam wiedzieć – dozorczyńni wzruszyła ramionami. – Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Po żelaznych, zniszczonych schodach Martin biegł na górę z Rickiem tuż za nim. Na którymś piętrze usłyszeli przenikliwe skłócone głosy. Wyżej dziewczyna w pawiowo-niebieskim szlafroku, z ręcznikiem przerzuconym przez ramię, człapała korytarzem w kierunku otwartej łazienki. Zmierzyła ich przenikliwym wzrokiem.

– Ramona Gonzales? – spytał Martin.

Dziewczyna wskazała kciukiem następne piętro.

– Ale jej nie ma. Byłam tam wczoraj pożyczyć parę pończoch. Dzisiaj też zaglądałam. Drzwi są zamknięte.

Martin skinął na bratanka. Jeszcze szybciej pokonali resztę schodów. Inspektor zaczął walić pięścią we wskazane drzwi. Nikt nie odpowiadał. Jeszcze kilka uderzeń. Bliski rozpaczy rąbnął barkiem w słabe drewno. Za drugim razem drzwi ustąpiły.

Wszedł do pokoju i natychmiast ujrzał to, czego się najbardziej obawiał. Na żelaznym łóżku rozciągnięte bezładnie ciało dziewczyny. Nogi zwisały poza ramą. Podeszedł bliżej. Mogła to być Evangelina Twing, ale mogła też być każda inna. Trudno powiedzieć cokolwiek, ponieważ twarz była zaczerwieniona i rozdęta od ucisku rąk, które ją zadusiły.

– Nie żyje! – zawołał za nim zaskoczony Rickie.

Tę niezwykłą porażkę odczuł Martin już jak gwałtowny, fizyczny ból. Sylwester, Bernard, George i Ramona. Wypełnił się do końca zbrodniczy schemat. Cała czwórka już nie żyła, a on nie był w stanie temu zapobiec.

Zmusił się do myślenia. Czynił to automatycznie, niby maszyna. Ramona nie żyła już oczywiście od jakiegoś czasu. Starczyło na nią spojrzeć. Dziewczyna z dołu powiedziała, że drzwi były wczoraj zamknięte. A więc, kiedy zamordowano Evangelinę Twing? Wczoraj? Tego samego dnia, co jej ojca i Bernarda Olina?

– Zaczekaj tutaj, Rickie. Zejdę porozmawiać z dozorczynią.

Gdy schodziło po schodach, lokatorzy zaczęli wychodzić ze swoich pokojów. Słyszeli zapewne, jak wyłamał drzwi. Szli za nim. Do kuchni, w której odnalazł dozorczyńnię, wepchnęła się za nim gromadka ludzi. Wiadomość o śmierci Ramony wywołała rozgorączkowane komentarze. Martin zorientował się jednak zaraz, że nie uzyska żadnych danych w tej zdezorganizowanej domowej społeczności, gdzie ludzie przychodzili i odchodzili obojętni wobec sąsiadów.

Nikt z nich nie widział „Człowieka o szatańskim śmiechu”. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia o prywatnym życiu Evangeliny Twing. Jedyna wskazówka pochodziła od dziewczyny w pawiowo-niebieskim szlafroku.

– Idźcie do Maisie Rolad. To przyjaciółka Ramony. Mieszka w szykownej kamienicy w górze, na Kalifornijskiej.

Martin połączył się z komendą, wezwał zespół detektywów i wrócił na górę do Rickiego.

– Pozostań aż przyjadą chłopcy. Nie wpuszczaj nikogo z sąsiadów. Zobaczymy się później.

Na ulicy Kalifornijskiej odnalazł Maisie Rolad. Była to malutka, ale ceniąca się blondynka. Mieszkanie było znacznie bardziej komfortowe, niż te w jakich żyły dziewczęta jej pokroju. zaproponowała Martinowi drinka, a kiedy odmówił, przygotowała cocktail dla siebie. Skuliła się w kącie kanapy.

– Ramona zamordowana! Jakież to straszne! – Uniosła łuki brwi, jakby zatrzwożona. – Nie była oczywiście moją prawdziwą przyjaciółką. Ale żał mi jej. Sama jestem artystką w nocnym lokalu. Kiedyś występowałyśmy razem... wiedziałam, że tej nieszczęsnej dziewczynie potrzeba kilku lepszych znajomości.

– Wiedziała pani, że nazywała się Evangelina Twing?

– Nie, ale orientowałam się, że Ramona to nie jest jej prawdziwe imię. Zawsze mówiła o ojcu. Była na niego bardzo rozgoryczona. Był taki skąpy, nadęty, surowy. Była jeszcze jakaś starsza dama... miss van coś. Wyrzucili ją z domu.

– Czy wie pani dlaczego?

Panna Rolad delikatnie przesuwiała palcami perły na szyi.

– Poszło o jakiegoś mężczyznę. Ona też była na niego zła. Zostawił ją na lodzie. Przy każdym niepowodzeniu Ramona miała pretensję do tego faceta. Gdyby nie to piekło przez niego, mówiła, niczego by jej nie brakowało. I nie tylko to...

– Tak? – zachęcił ją Martin.

– Bo czasami jeszcze zgrywała się, robiła tajemnicza i mówiła: „Popatrz tylko na mnie... podrabiana seniorita śpiewająca za garść orzeszków... A mogłam być bogata”. Kiedyś, po wypiciu tutaj paru kieliszków powiedziała: „Ta stara dama naprawdę mnie lubiła. Miałam dziedziczyć po tej starej van coś. Zwierzyła mi się w zaufaniu. Wszystko było ułożone. A potem, tylko dlatego, że temu draniowi zachciało się akurat tam w domu i stara nas nakryła, przepędzili mnie bez złamanego szeląga. Kiedy już na nic nie mógł liczyć, zostawił mnie na lodzie...” Tak jakoś powiedziała. Słuchałam piąte przez dziesiąte. Te dziewczęta z nocnych lokali! Wszystkie opowiadają o przykrych przeżyciach.

Evangelina była bogata! Wszystko było ułożone, żeby odziedziczyła majątek po miss Van Loon. Majątek! A kochanek zostawił ją na lodzie... kiedy już na nic nie mógł liczyć. Kiedy miss Van Loon skreśliła ją ze swego testamentu?

A więc ten kochanek wiedział o spadku. Istniał mężczyzna, który wiedział, że w domu tej Van Loon znajduje się coś mającego wielką wartość; coś, o czym nie wspomniała nawet ostrożna miss Van Loon, tak że i Sylwester Twing nie domyślał się tej wielkiej wartości!

Martin ożywił się. Wezwany ekspert nie znalazł nic poza zwykłymi rupieciami w starym domu przy ulicy Jubileuszowej. Jeśli jednak było tam coś cennego, to „Człowiek o szatańskim śmiechu” ukradłby to niewątpliwie po zamordowaniu Sylwestra.

Majątek miss Van Loon! Może klejnoty? Albo obrazy? Olin handlował obrazami. Lyle był dyrektorem Muzeum Sztuki. Tak, obrazy. Ich mógł szukać „Człowiek o szatańskim śmiechu”... Bo jeżeli wszystko tak się właśnie stało, to wcześniejsze podejrzenia Martina byłyby uzasadnione. Morderca nie był szaleńcem.

– Panno Rolad, jak się nazywał ten mężczyzna, który zostawił Ramonę na lodzie?

Maisie Rolad skrzywiła swoje piękne usteczka w żalonym grymasie.

– Litości, nie pamiętam. Chociaż Ramona wciąż powtarzała to imię. John, Dick, Bob, a może Bill? Jedno z tych najpopularniejszych imion – wstała z kanapy i podeszła do inspektora. – Biedny policjancik! Niech pan się napije i odetchnie.

Obrazy! Tak, to musiały być obrazy. Martin zerwał się.

– Przepraszam panno Rolad. Innym razem.

Wstąpił do komendy, zabrał klucz od domu Twingów i pospieszył na ulicę Jubileuszową. Gdy tylko znalazł się w przyćmionym, zaróżowionym blasku bawialni, jego wzrok trafił na wypchanego pekińczyka pod szklanym kloszem i na dwa obrazy wiszące za nim. Serce waliło mu coraz mocniej, kiedy zbliżał się do tych obrazów. Jeden i drugi o ciemnej fakturze przedstawiał martwą naturę w postaci koszyków z owocami. Były to te same obrazy, jakie widział, kiedy na podłodze pod nimi wały się zwłoki Sylwestra Twinga. Lecz...

Przypomniawszy sobie fotografię starej miss Van Loon, jaką zobaczył w ręku pani Twing. Wykonano ją w tym samym rogu bawialni. Tego był pewien. Pekińczyk siedział na tym samym stoliku. Ale na fotografii miss Van Loon obrazy na ścianie nie przedstawiały owoców w koszykach. Były to jakieś mieszkalne wnętrza.

Zdjął ze ściany jeden z obrazów, a potem następny. Jego podniecenie zmieniło się w uczucie triumfu. Na starej, czerwonej tapecie wyraźnie rysowały się jaśniejsze kwadraty, kontrastujące z przybrudzoną resztą. Te jaśniejsze kwadraty były jednak mniejsze od wiszących obecnie obrazów. Do niedawna musiały, więc tam wisieć inne płótna. Martwe natury umieszczono na ich miejscu.

Dokonał tego oczywiście „Człowiek o szatańskim śmiechu”. I on też skradł tamte płótna po zamordowaniu Sylwestra Twinga.

Inspektor Fidel przypomniał sobie teraz jeszcze te porwane i porozrzucane prześcieradła w domu Twingów. Z jednego łóżka zniknęły prześcieradła. Podobnie, jak pani Twing sądził, że to robota bezmyślnego szaleńca. Lecz, w jaki sposób sprytny morderca mógł wynieść z domu obrazy w biały dzień? Zawijając je w prześcieradła, żeby wyglądały niby tłumoki bielizny do prania.

Pobiegł na górę. W łóżku pani Twing nadal była bielizna pościelowa. Sprawdził numer z pralni. Zanotował: 37711.

A skąd morderca zdobył te zastępcze obrazy? Przecież nie ze ścian, ponieważ pozostawiłby na nich czyściejsze znaki. I nie przyniósł ich zapewne ze sobą. Nie przyszedłby zamordować Sylwestra Twinga, dźwigając pod pachą dwa obrazy. Wobec tego skąd? Skądś w tymże domu, gdzie nie wisiały na ścianie. Może ze strychu? Poszedł przecież na strych i czegoś tam szukał.

Na poddaszu, za starym rozłożonym łóżkiem, Martin znalazł dużą paczkę. Papier był rozerwany. W paczce znajdowały się jeszcze dwa obrazy z owocami, podobne do tych w bawialni. Opakowanie było jednak wyraźnie zbyt obszerne. Mieściły się w nim z pewnością cztery obrazy. Po zabójstwie morderca odnalazł tę paczkę i przeniósł dwa obrazy do bawialni.

Inspektor powrócił na parter i zadzwonił do komendy.

– Podajcie mi adres tej Ross... tej, u której przebywa pani Twing.

Pojechał pod otrzymany adres. Zastał panią Twing i panią Ross. Zbył szybko ich pytania i poprosił o pożyczenie fotografii miss Van Loon. Gdy tylko pani Ross ją przyniosła, przekonał się, że ma rację. Za pekińczykiem wisiały na ścianie dwa małe wyraźne, stare płótna w ciężkich, połączonych ramach, ozdobionych girlandami rzeźbionych winogron. Dostrzegł na nich kobiety, stojące przy oknach w obco wyglądających pokojach.

Martin Field wrócił do komendy. Wiadomość o zamordowaniu Ramony rozeszła się już po mieście. Świadczył o tym tłum reporterów, domagających się szczegółów od rozognionych funkcjonariuszy. Inspektor zadzwonił do Muzeum Sztuki. Poprosił eksperta, który mógłby zidentyfikować dwa obrazy. Umówił się z kustoszem. W tym momencie wszedł do biura Rickie, który przyjechał wraz z detektywami z ulicy Fillmore. Martin poinformował krótko bratanka o pomyślnym rozwoju dochodzenia i pospieszył do muzeum.

– Jeżeli się nie mylę – wyjaśnił kustoszowi – te płótna stały się przyczyną czterech morderstw. Przedstawiają chyba olbrzymią wartość.

Kustosz studiował zdjęcie.

– W tych warunkach trudno o bezbłędną identyfikację – oświadczył. – Musiałbym obejrzeć obrazy bezpośrednio. Wyglądają mi jednak na Vermeera, to każde z nich warte jest co najmniej pięćset tysięcy dolarów.

– Kto to jest Vermeer?

– Był to wielki malarz holenderski.

– Bardzo dziękuję. Tyle chciałem wiedzieć.

Wszystko stawało się jasne. Jakby oglądał to na rozwijającej się taśmie filmowej. Kiedy jeszcze miss Van Loon darzyła sympatią Evangelinę, zwierzyła się z jej z wartości Vermeerów i obiecała pozostawić je dziewczynie w spadku. Evangelinę opowiedziała o tym kochankowi, prawdopodobnie aby wzbudzić w nim większe zainteresowanie swoją osobą. Potem nastąpiła katastrofa. Po wyrzuceniu z domu straciła szansę na spadek.

Straciła również kochanka. Ale on pamiętał o Vermeerach i gdy tylko miss Van Loon, pozostawiając dom nie domyślającemu się niczego Sylwestrowi, uznał, że nadarza się wspaniała okazja zdobycia milionowej fortuny. Odwiedził wtedy Sylwestra Twinga... Nie, to nie mogło odbyć się w ten sposób. Surowy, purytański Twing nie wpuściłby do swego domu kochanka córki.

Skierował wóz w ulicę Rynkową i znów pomyślał o dziewczynie w białej sukience, którą w przeddzień morderstwa widziała praczka przed domem Twingów. Nie, kochanek Evangeliny sam nie miał możliwości porozumienia się z Twingiem. Musiał mieć współnika, albo współniczkę. Do Swinga udała się ta dziewczyna w białej sukience, przedstawiła się jako handlująca obrazami i za grosze chciała nabyć oba stare płótna. Taki był ten plan. Prosty plan zdobycia miliona dolarów prawie za nic...

Coś jednak nie wyszło. Dlaczego? Może Sylwester był na tyle przebiegły, że podejrzewał podstęp? Może domyślił się, że płótna są jednak cenne? Bo przecież z ofertą zgłosiła się jakaś nieznana dziewczyna, niewiadomo skąd... Czyż nie byłoby w zgodzie z charakterem Twinga odwlec transakcję z dziewczyną i wezwać eksperta, który oficjalnie oceniłby wartość płócien?

Bernard Olin, znany marszand, był oczywistym kandydatem do tej roli. Sylwester zaprosił więc Oliną. Ten, jako człowiek uczciwy i solidny, zakomunikował Twingowi jaką olbrzymią wartość mają te dwa obrazy. Po powrocie do swojej galerii, Olin chciał zawiadomić telefonicznie Renshawa Lyle, dyrektora muzeum, które powinno było zainteresować się możliwością nabycia płócien od Twinga. Zadzwoił, ale Joseph Crummit poinformował go, że dyrektora nie ma w mieście. Wobec tego napisał do niego list.

W ten sposób Sylwester był już teraz powiązany z Olinem, z Georgem i oczywiście również z Ramoną. Przestały to być tylko przypadkowe imiona połączone groźbą szaleńca. Odnosiły się do czterech konkretnych osób, stojących między kochankiem Evangeliny i obrazami Vermeera. Pierwotny zamiar ograbienia Sylwestra Twinga przekształcił się z konieczności w wielokrotne morderstwo. A współniczka? Dziewczyna w białej sukience?

Dojechał do komendy. Szybko pobiegł do swego biura. Po drodze zatrzymał go jeden z detektywów.

– Telefon, inspektorze. Bardzo pilny.

Martin przyjął słuchawkę.

– Inspektorze! Jak to dobrze, że już pan jest – mówiła Anna Lyle głosem drżącym z niepokoju. – Stało się coś strasznego... To Lorna...

– Lorna?

– Mniej więcej przed godziną zadzwonił do domu jakiś mężczyzna. Przedstawił się, jako jeden z adwokatów mego męża i oświadczył, iż muszę porozumieć się z nim natychmiast. Podał swój adres, gdzieś na Wzgórzach Bernal. Przyjechałam tutaj i nie odnalazłam podanego numeru domu. Zapisałam go na kartce, ale zostawiłam ją w mieszkaniu. Myślałam, że może się pomyliłam, więc zatelefonowałam do Lorny.

Odebrała telefon niemal nieprzytomna z przerażenia. „Dzięki Bogu, że to ty” – powiedziała. – „Wezwij inspektora. Ja już dłużej nie mogę. Wiem wszystko. Wiedziałam od początku, a teraz on mnie...” Potem krzyknęła, usłyszałam strzał i potworne, obłąkańcze parsknięcie śmiechem. – Anna załkała. – To ten sam człowiek! Telefonował, podając się za adwokata, żeby wyciągnąć mnie z domu. Proszę się pospieszyć! Ja też postaram się przyjechać jak najprędzej. Szybko, inspektorze!

Martin rzucił słuchawkę, wstrząśnięty i znów wściekły na siebie. Spis trupów powiększył się teraz o Lornę Williams. Naturalnie. To przecież właśnie Lorna Williams musiała być współniczką „Człowieka o szatańskim śmiechu”... tą dziewczyną w białej sukience, która z pomocnicy stała się kolejną ofiarą.

Miał teraz przed oczami ramy Vermeerów z fotografii. Ciężkie, złożone ramy, zdobione kiściami winogron. Podobne były ramy w gabinecie Olin, po które miał on rzekomo posłać Lornę. Od samego początku te ramy ukryte były w najlogiczniejszym miejscu do przechowywania ram... w galerii obrazów. Teraz już wszystko było jasne, jak słońce. Tylko, że teraz było już za późno. Co za korzyść z teoretycznych sukcesów tak bardzo wyprzedzonych tragicznymi wypadkami? On błędził, podczas gdy „Człowiek o szatańskim śmiechu”... Anna Lyle usłyszała ten śmiech. Całe San Francisco trajkotało o nim, a zgroza narastała z godziny na godzinę.

Ale „Człowiek o szatańskim śmiechu” wcale nie istniał. Był to fantastyczny kamuflaż, stworzony przez pomysłowego i zatrwająco trzeźwego mordercę. Kamuflaż osiągnięty dzięki okpieniu przerażonej, ślepej staruszki i zastraszeniu współniczki.

Wszystko całkiem jasne. Zastosowanie podstępu było dla mordercy niezwykle istotne. Albowiem, gdyby ujawniony został prawdziwy motyw w postaci Vermeerów, o płótnach tych stałoby się głośno, co uniemożliwiłoby ich sprzedaż. Mordercy zależało na utrzymaniu w tajemnicy istnienia Vermeerów. A czy możliwy jest lepszy kamuflaż, niż wymyślenie obłąkanego zabójcy, mającego stare porachunki. Szaleniec wraca, żeby zamordować czworo ludzi, którzy uczynili mu krzywdę. Czworo ludzi, których imiona podane zostaną do wiadomości policji w taki sposób, że ich identyfikacja możliwa będzie tylko po ich śmierci. Obłąkańczy śmiech i poszarpane prześcieradła, żeby przerazić panią Twing. Fałszywy rysopis podany przez Lornę Williams, która zostaje znokautowana dla uprawdopodobnienia tego, co powie. Pojedyncze parsknięcia śmiechem z samochodu przed domem Renshawa Lyle.

Tylko tyle było potrzeba. Zaledwie kilka chytrych zagrań. Resztę dośpiewał krzykliwy chór gazet i opinii publicznej. Gniew Martina zamienił się teraz w chłodną nienawiść wobec tego zabójcy, który przechytrył go tak umiejętnie.

Zatrzymał wóz przed domem na ulicy Jeffersona. Udał się do mieszkania Anny. Zanim jeszcze wyważył drzwi, przygotowany był na to, co zobaczył w rzeczywistości: zwinięte w kłębek ciało Lorny Williams leżało na podłodze obok aparatu telefonicznego. Ale na te zwłoki patrzył z cynicznym spokojem. Zasłużyła na to, bardziej niż pozostali. Jednak morderca pokonał go raz jeszcze.

Połączył się z komendą, świadom swojej upokarzającej sytuacji.

– Jeszcze jeden trup. Przyjedźcie i zabierzcie, jeżeli jest jeszcze miejsce w kostnicy.

Znów popatrzył na Lornę Williams, rozmyślając nad jej rolą w zbrodniach „Człowieka o szatańskim śmiechu”. Kiedy starała się kupić obrazy od Sylwestra Twinga, mogło jej się zrazu wydawać, że transakcja dojdzie do skutku. Dopiero nazajutrz zorientowała się o niepowodzeniu, gdy Olin przyszedł do galerii z triumfalną wieścią o odkryciu Vermeerów. I Olin podyktował jej prawdopodobnie list, zawiadamiający Renshawa Lyle o tym sensacyjnym odkryciu. Udaremnił też zniszczenie przez nią tej przesyłki, wrzucając ją osobiście do skrzynki.

Martin wyobraził sobie Lornę, samą już w galerii, ostrzegającą przez telefon „wspólnika” w związku z niepowodzeniem jego planu. Twing i Olin wiedzieli już o Vermeerach. Lyle dowie się natychmiast po powrocie z Chicago i przeczytaniu listu Olina. No i wciąż przecież była jeszcze Evangelina Twing, która też знаła prawdę o obrazach.

Wiedziały więc lub wkrótce mały się dowiedzieć, razem cztery osoby. Lorna uznała zapewne, że sprawa jest beznadziejna i radziła chyba zrezygnować. Ale jej wspólnik był odmiennego zdania. Nie miał zamiaru tracić miliona dolarów. Z zadziwiającym tupetem odstąpił od zwykłego oszustwa na rzecz zbiorowego morderstwa.

Jakie pierwszą zabił oczywiście Evangelinę, najniebezpieczniejszą dla niego z tej czwórki, ponieważ nie tylko wiedziała o obrazach, ale sądziła także, że on jest jedyną osobą poza nią, która wie o ich istnieniu. Potem zabił Sylwestra, stworzył postać „Człowieka o szatańskim śmiechu” w ogarniętym paniką umyśle pani Twing i ukradł obrazy. Następnie pojechał wprost do galerii Olina i zabił marszanda.

Martin uświadomił sobie, wobec jakiego przerażającego dylematu znalazła się wtedy Lorna Williams. Stała się współniczką mordercy, czy chciała, czy nie chciała. Zbyt późno już było na wycofanie się. Musiała więc kontynuować to partnerstwo, ucząc się na pamięć tego, co kazał jej mówić o „Człowieku o szatańskim śmiechu” i pozwalając mu znokautować się. A później musiała zachować milczenie, nawet po zamordowani Renshawa Lyle.

Zorientował się teraz, że wprawie Renshawa Lyle, jako George, uwzględniony został w czwórce ofiar na wszelki wypadek, to przecież nie musiał jednak zginąć. Gdyby pozostał w Chicago tak długo, jak początkowo zamierzał, morderca zabrałby tylko z jego mieszkania list Olina i zniszczył go przed powrotem George’a. Na skutek niespodziewanego przyjazdu i przeczytania otrzymanej poczty, Lyle sam podpisał swój wyrok śmierci.

Kłęknał przy zwłokach Lorny Williams. Pod grubym osadem rozgoryczenia zebrała się już warstewka litości. Dlaczego tak postąpiła? Co sprawiło, że normalna, uczciwa dziewczyna skumała się z mordercą?

Splószył go jakiś odgłos za plecami. Zerwał się, odwrócił i ujrzał Annę Lyle w drzwiach sypialni. Jęknęła boleśnie i zachwiała się. Martin skoczył do niej i podtrzymał obejmując ramieniem.

– Nie żyje – szepnęła. – I to z mojej winy! Gdybym jej nie zostawiła samej...

– Wtedy i pani by zginęła.

Trzymając ją w ramionach, opowiedział całą historię. Dziwnie się czuł. Nie ustąpiła jeszcze nagromadzona gorycz i profesjonalna czujność, ale wymierzały się już z takim poczuciem spokoju, jakby jedno się skończyło, a drugie zaczynało.

– Pani ją przecież знаła... Jak mogła się zaplatać w coś takiego?

– Chyba się domyślam. Mówiłam panu, że musiała zrezygnować z mieszkania. Miała kłopoty. Uprawiała gry hazardowe. Spędziła urlop w Reno i poznała tam mężczyznę, który miał system na pomyślną grę w ruletkę. Wygrali wielkie pieniądze, ale potem je przegrali. Później zaczęli pożyczać, brnęli coraz głębiej i w końcu byli beznadziejnie zadłużeni. Wyprowadziła się z mieszkania, ponieważ obawiała się, że odnajdą ją ci, którym pozostała dłużna w kasynach.

A więc był motyw. Rozpacзлиwa potrzeba prędkiego zdobycia pieniędzy.

– Kim był ten mężczyzna?

– Nie wiem. Nigdy mi nie mówiła.

Łatwo się było domyślić. Wspólnik Lorny przy rulecie był jej współnikiem w zbrodni. Ten sam, co był kochankiem Evangeliny. Panna Rolad powiedziała: „Jon, Dick, Bob, a może Bill? Jedno z tych najpopularniejszych imion...”

Jednak zadanie odnalezienia kochanka Evangeliny było beznadziejne. Mógł to być jakikolwiek mężczyzna w Stanach Zjednoczonych. Ale w tym momencie Martin

Fidel przypomniał sobie o kluczach. „Człowiekiem o szatańskim śmiechu” mógł być przecież tylko ktoś, kto miał klucze do mieszkania Renshawa Lyle.

Klucze miał Joseph Crummit, który jako historyk sztuki pracował nad książką o malarstwie holenderskim. On pierwszy zdałby sobie sprawę z wartości Vermeerów. Joseph – Joe. Popularne imię.

A Robert Hilton! Stały gość w mieszkaniu Anny. Z łatwością mógł wykraść jej klucze. Robert Hilton był artystą malarzem. Rober – Bob...

Przyjechała grupa dochodzeniowa, detektyw, dwóch policjantów, doktor Casey. Martin skierował ich do sypialni. „Człowiek o szatańskim śmiechu” to albo Hilton, albo Crummit. Ale w tym całym zawiłym łańcuchu morderstw zbrodniarz nie pozostawił najdrobniejszego śladu, który świadczyłby przeciw niemu w sądzie. Chyba, że uda się znaleźć Vermeera właśnie u jednego z nich. Bo inaczej, w jaki sposób?...

I oto nagle zaświtał mu w głowie pomysł. Przypomniał sobie panią Twing zwracającą ku niemu swoje niewidzące oczy, kiedy wchodził do jej pokoju.

„A więc to pan, inspektorze... Skąd pani wie, że to ja?... Ślepy zawsze rozpoznają kroki...”

Kroki! Przerazenie staruszki doszło do zenitu, kiedy usłyszała kroki „Człowieka o szatańskim śmiechu”... Kroki idące z bawialni, wychodzące po schodach, kierujące się do jej pokoju.

Odwrócił się do Anny.

– Pani zna numery telefonów Hiltona i Crummita?

– Owszem. Ale dlaczego?

Wyłożył jej krótko swój plan. Telefon zadzwonił, zanim mu podała oba numery. W słuchawce odezwał się podekscytowany głos Josepha Crummita.

– Czy zastałem panią Lyle? – zapytał.

Martin oddał Annie słuchawkę.

– Tak, Joe... Ach, tak... Nie, teraz nie mogę. Jestem z inspektorem Fidelem. Muszę iść do niego do domu.... Przyszędłbyś?... zaczekaj chwilę...

Zasłoniła ręką mikrofon aparatu telefonicznego.

– To Joe. W związku z testamentem Renniego. Joe odziedziczy znaczną część majątku, jeśli podpiszę akt zrzeczenia. Chce przywieźć ten akt do pana, żebym zaraz podpisała. Czy mam się zgodzić?

Martin skinął potakująco. Anna przekazała swoją odpowiedź Crummitowi i odłożyła słuchawkę.

– Przyjedzie.

Teraz Martin zadzwonił do Hiltona i poprosił, żeby zgłosił się do niego do mieszkania. Następnie wraz z Anną oraz jednym policjantem pojechali do pani Ross. Zastali panią Twing siedzącą na ganku w fotelu z biegunami.

– Gdyby usłyszała pani znów kroki „Człowieka o szatańskim śmiechu” – zagadnął ją po powitaniu inspektor – czy potrafiłaby go pani rozpoznać?

– Naturalnie. Wszędzie.

Pojechali razem do mieszkania Martina. Inspektor zaprowadził panią Twing i policjanta do mansardy, zajmowanej przez Rickiego. Była to idealna pułapka ze względu na wysokie, puste schody wiodące wprost do mieszkania. Na dole ulokował Annę.

– Kiedy przyjdą, proszę skierować ich do mnie, do mansardy – poinstruował ją.

Wrócił na górę. Staruszka usiadła w fotelu przy biurku, policjant stanął w pobliżu drzwi. Martin przysiadł na łóżku bratanka. W oczekiwaniu na kulminacyjny punkt wyczerpywał się zapas jego energii. Wiedział, że wygra. Ale to zwycięstwo nie dawało już satysfakcji. Pięcioro ludzi zabitych... Nikogo nie udało się ocalić...

Podczas tego denerwującego oczekiwania nadal toczył zawziętą wewnętrzną walkę, od czasu do czasu rzucając okiem na panią Twing. W tym fotelu przy biurku

sprawiła teraz takie wrażenie, jakby była uosobieniem nieubłaganego przeznaczenia.

Na dole odezwał się dźwięk dzwonka. Martin napreżył się, zacisnął palce na pościeli. Usłyszał przytłumiony głos Anny, potem jeszcze inny głos. Po chwili odgłos kroków zadudnił na schodach. Martin utkwiał wzrok w twarzy starej kobiety.

– Proszę słuchać, pani Twing...

Kroki były coraz bliższe. Policjant przy drzwiach zwilżył wargi. Lecz Martin nie widział żadnej zmiany w wyrazie twarzy staruszki.

– Te same, pani Twing?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie. To nie jest „Człowiek o szatańskim śmiechu”.

Do mansardy wszedł Robert Hilton.

– Pan chciał mnie widzieć, inspektorze?

– Już nie – Martin wskazał mu krzesło. – Proszę tylko siedzieć i czekać.

Znów zadzwoniono do drzwi. Znów przytłumione głosy i potem kroki na schodach. Pani Twing wychyliła się nieco naprzód. Martin obserwował ją, czekając na moment, który na pewno doprowadzi sprawę do końca. Kroki były już prawie pod drzwiami... Staruszka ponownie potrząsnęła przecząco głową.

– Nie – stwierdziła. – To nie on.

– Jest pani pewna?

– Jestem absolutnie pewna.

Drzwi otworzyły się. Ukazał się w nich Joseph Crummit z teczką w ręku.

– Pani Lyle przysłała mnie tutaj, panie inspektorze. O co chciał mnie pan zapytać?

Martin Fidel popatrzył na niego z wyrazem totalnej klęski. Na nic się zdała ta pułapka, która miała go wybawić od upokarzającego niepowodzenia. A teraz nie miał już żadnego planu, nie miał nawet pojęcia, co robić dalej.

– Panie Crummit... – odezwał się i urwał zaraz, ponieważ na schodach raz jeszcze odezwały się jakieś kroki, spieszące na górę. Zauważył nagle poruszenie pani Twing.

Sprężona wyprostowała się w fotelu. Jej ślepe oczy utkwione były w jakiś jeden punkt. Na twarzy rysował się wolno wyraz zdumienia i przerażenia.

– To on – krzyknęła głosem przenikliwym, niby przestraszony ptak. – To on... to „Człowiek o szatańskim śmiechu”!

Ktoś pchnął drzwi. Z wesołym uśmiechem na twarzy do mansardy wszedł Rickie.

Przez chwilę, w której zadawał się zatrzymać czas, inspektor Martin Fidel siedział wpatrzony w bratanka. Ale, Dy spłynęła już po nim fala grozy, przeniósł wzrok na swoje ręce. Dostrzegł teraz skrawek prześcieradła z odbitym numerem pralniczym: 37711.

Ten numer podziałał na niego jeszcze gorzej, niż uśmiechnięta twarz bratanka. 37711 – numer pralniczy Twingów, numer prześcieradeł, w których wyniesiono Vermeera. Stawiał czoło tej prawdzie, ponieważ przez wiele lat uczono go odwagi w najtrudniejszych okolicznościach. Naturalnie. Teraz było to już żałośnie logiczne.

Robert Hilton nie był jedynym, który mógł skraść klucze z sypialni Anny. To przecież Rickie wniósł Lornę Williams do tego pokoju. Rickie, który pod przykrywką zainteresowania pracą policyjną stworzył sobie możliwość uzyskania tych kluczy od Lorny...

„Jon, Dick, Bob, a może Bill... Jedno z tych najpopularniejszych imion”. Dick – Rickie. Rickie, który uganiał się za dziewczętami. Rickie, który był kochankiem Evangeliny i dowiedział się o płótnach Vermeera dwa lata temu, przed swoją służbą w Korei. Rickie, który spędził urlop na wakacyjnej wędrowce po Nevadzie... „wędrowce”, która zakończyła się poznaniem Lorny Williams, niezawodnym systemem gry w ruletkę w Reno i wreszcie rozpaczliwą potrzebą szybkiego zdobycia gotówki na pokrycie długów.

Przykry chłód wgrzyzał się w niego coraz głębiej. Uświadomił sobie, że pośrednio i on sam odpowiedzialny jest za śmierć Lorny. Przed pójściem do muzeum powiedział Rickiemu o odkryciu Vermeerów. Rickie dowiedział się wtedy, że prawda została ujawniona i kradzież płócien powiąże się z ramami w galerii. Zabił Lornę nim wyznałaby wszystko podczas kolejnego przesłuchania.

– Hej, Mart, cóż to za przyjęcie? – przerwało mu rozmyślenia bez troskie pytanie Rickiego.

Martin wstał z łóżka. Nogi miał zdrętwiałe, jakby stał na dwóch pieńkach drewna. Nie mógł spojrzeć na Rickiego. Zwrócił się do policjanta przy drzwiach:

– OK., Fred. Załóż mu kajdanki.

Zdumiony policjant ruszył od drzwi. Inspektor odwrócił się plecami. Własne myśli raniły go, jak noże. Rickie nie dbał nawet o to, aby zniszczyć te zdradzające go prześcieradła. Znajdował się przecież w samym środku policyjnej strefy bezpieczeństwa. Kto przeprowadziłby rewizję w mieszkaniu inspektora Fielda?

Jeśli były tu prześcieradła, to może i Vermeera... Jak wąż rzucił się Martin ku szafie. Za ubraniami, podparte na tylnej ścianie stały dwa obrazy. Wyjął je i rzucił na podłogę. Dowody warte milion dolarów.

Odwrócił się do Rickiego. Wymagało to wszystkich sił, jakie mógł zebrać. Popatrzył na jedyne go człowieka, którego kochał. Jego bratanek był skuty kajdankami z policjantem, ale nadal pozostawał niefrasobliwy, jak zawsze. Uczucie, które nie zdążyło jeszcze zgasnąć, wywołało w Martinie podziw, który pragnął z siebie przepędzić.

– Ile jesteś dłużny tym hazardzistom z Reno? – spytał prawie szeptem.

– Ponad sto tysięcy – Rickie uczynił zawadiacki gest ręką. – Wygląda na to, że będą musieli zrezygnować. Cóż... ryzyko sportowe.

Dreszcz zgrozy przeszedł Martina. Ryzyko sportowe! Zamordowanie pięciorga ludzi... ryzyko sportowe. Niestosowny podziw przepadł bez śladu. Czuł już tylko pogardę i zgrozę, że tak długo mógł żyć z kimś, kogo znał tak mało.

– zabierz go, Fred – polecił policjantowi.

Machina sprawiedliwości zaczęła się obracać. Martin odegrał już swoją rolę. Spuścił wzrok, starał się nie słuchać... Może kiedyś znów stanie się żywym człowiekiem.

Poczuł dotknięcie czyjejś ręki na ramieniu. Usłyszał głos łagodny, współczujący.

– Zdaję sobie sprawę z tego, co pan odczuwa. Bardzo mi żal.

Obejrzał się zdrętwiały. Obok stała Anna Lyle.

– Wykonał pan swój obowiązek – dodała.

– Pani Lyle!

Odwrócili się oboje na to rozpaczliwe niemal zawołanie. Joseph Crummit kręcił się z papierami w ręku.

– Przykro mi panią teraz niepokoić. Ale gdyby pani mogła podpisać ten akt zrzeczenia...

Anna spojrzała na Martina.

– Mam podpisać?

Wiedział, że stara się zająć czymś innym jego uwagę, odciągnąć go od gorzkiego rozpamiętywania. Był jej wdzięczny.

– Proszę podpisać – powiedział. – Pamięta pani swoje słowa? Nie przyjmuje pani niczego bez uzasadnienia.

Anna Lyle podpisała dokumenty piórem gorliwie podanym przez Joseph Crummit.

– Dziękuję, pani Lyle. – Crummit wybiegł z mansardy.

Po odejściu reszty Martin i Anna pozostali sami. Przez chwilę patrzyli na siebie. Wreszcie ona odezwała się cichym, niepewnym głosem.

– Pamięta pan jeszcze coś, co powiedziałam wczoraj? Mówiłam, że nie potrafię chyba zakochać się zbyt łatwo. Być może... być może myliłam się.

Ujął jej rękę. Może kiedyś znów stanie się żywym człowiekiem. Właściwie był nawet teraz tego pewny, ponieważ zakradały się już z powrotem słoneczne fantazje z wczorajszego dnia.

On i Anna na jego jachcie płyną po zatoce. Żagiel łopocze pod leniwą, letnią bryzą. Powietrze ma ostry smak soli...

KONIEC